



Portret
aktywnego
obywatela





Portret
aktywnego
obywatela

Pomysłodawca i redakcja – Edyta Sobiecka
Autorka wywiadów – Bernadeta Szczypta
Autorka zdjęć – Bernadeta Szczypta

Projekt graficzny, skład, korekta –
agencja fotograficzno-wydawnicza Graffia
ul. Kościuszki 49, 38-400 Krosno
t. 661 216 041
wydawnictwo@kaligraffia.pl
www.kaligraffia.pl

Stowarzyszenie Ekopsychologia
ul. Grabina 6/18, 32-840 Zakliczyn
biuro@cafeobywatelska.pl
www.cafeobywatelska.pl
www.ekopsychologia.pl



Copyright by Stowarzyszenie Ekopsychologia

Zakliczyn 2014

ISBN: 978-83-937353-8-9

Publikacja została wydana w ramach projektu „Cafe Obywatelska”, projekt współfinansowany przez Szwajcarię w ramach szwajcarskiego programu współpracy z nowymi krajami Unii Europejskiej.



Spis treści

„Początek”	7
Rozmowa z Agatą Błoswick „Wierzę w efekt kuli śnieżnej”	11
Rozmowa z Wiesławą Borczyk „Tego potencjału nie wolno zmarnować”	17
Rozmowa z Beatą Budzik „Ciągle młoda, choć nieco mniej gniewna”	23
Rozmowa z Agnieszką Doruch „Wierzę w Perpetuum Mobile”	29
Rozmowa z Agnieszką Machowską „Świat tego potrzebuje”	33
Rozmowa z Aliną Marek „Już mnie nie pytają, co z tego mam”	39
Rozmowa z Jaroslavem Maruščákem „Polacy podążają za nektarem”	45
Rozmowa z Marcinem Kałużnym „Kiedy pasja i praca to jedno”	49
Rozmowa z Moniką Kozdraś-Grzesik „Jest taki moment, kiedy idę powoli...”	55
Rozmowa z Lucyną Krzemińską „Pochyliłam się nad marudzącymi”	61
Rozmowa z Marcinem Lewandowskim „Poprawiam wózki w sklepach”	67
Rozmowa z Katarzyną Łabędź „Czasami mnie wkurzają, ale jestem ich ciekawa”	75
Rozmowa z Moniką Ochwat-Marcinkiewicz „Bez ludzi Karpaty umrą”	81
Rozmowa z Bartłomiejem Świstakiem Piotrowskim „Nie chcę się poświęcać”	89
Rozmowa z Natalią Ewą Julią Trybą oraz Łukaszem Lucjuszem Dubinem „Inni”	97
Rozmowa z Kamilem Wrzosem „Nie mógłbym pracować w banku”	103
„Koniec, który daje obietnicę na ciąg dalszy”	109



Październik 2013 roku. Kawiarnia w centrum Rzeszowa. Pijemy kawę. Edyta z ulubionego kubka na wynos, ja z filiżanki. Kawa cudownie pachnie, paruje i rozgrzewa. Edyta patrzy na mnie z błyskiem w oczach. Wiem, że mnie czymś zaskoczy. Nie mylę się.



„Początek”



Rozmawiają: Edyta Sobiecka – koordynatorka projektu Cafe Obywatelska oraz dziennikarka Polskiego Radia Rzeszów Bernadeta Szczypta, autorka wywiadów w publikacji Portret aktywnego obywatela.

Projekt jest skierowany do studentów, którzy poszukują własnej ścieżki życiowej, poszukują wzorców, a skoro mamy je dookoła, to dlaczego z nich nie skorzystać?

Bernadeta Szczypta:
Mów, bo widzę, że już nie możesz wytrzymać...

Edyta Sobiecka: Przychodzę do ciebie z wyzwaniem. Chciałabym zaprosić cię do projektu Cafe Obywatelska, w którym spotykamy się z ekspertami działalności obywatelskiej. Zapraszamy ludzi, którym udało się, którzy chcą podzielić się swoją historią. Pomyśleliśmy o publikacji, w której zawrzemy wywiady z nimi.

BS: Takich osób jest mnóstwo, ale na co dzień ich nie zauważamy. Dlaczego tak się dzieje? Nie mamy czasu, ochoty, jesteśmy zaprzątnięci swoimi sprawami?

ES: Myślę, że z jednej strony ich nie zauważamy, ale z drugiej, oni nie dbają o to, żeby być zauważonymi. A młodzi potrzebują wzorców. Projekt jest skierowany do studentów, którzy poszukują własnej ścieżki życiowej, poszukują wzorców, a skoro mamy je dookoła, to dlaczego z nich nie skorzystać?

BS: Kogo konkretnie chciałabyś pokazać w tej publikacji?
ES: Ludzi aktywnych, którzy uwierzyli, że mogą tak zwyczajnie, bez spiny, presji, wielkich oczekiwań.



**BS: Kogo konkretnie chciała-
byś pokazać w tej publikacji?**

ES: Ludzi aktywnych, którzy uwierzyli, że mogą tak zwyczajnie, bez spiny, presji, wielkich oczekiwań. Ludzi, którzy mają pomysł, dostrzegają potrzebę i którzy chcą coś kreować. Projekt jest realizowany w 4 miastach: Rzeszowie, Tarnowie, Nowym Sączu i Krakowie. Zależy mi na tym, żeby porozmawiać z ekspertami z każdego z tych miast.



BS: Żeby popatrzeć im w oczy...

ES: ...i zobaczyć czy jest ten błysk. Czy ta osoba, kiedy mówi o swoim działaniu, to mówi o nim z miłością. Niekoniecznie chcemy tu pokazywać tylko i wyłącznie liderów. Chcemy pokazywać ludzi, którzy tworzą zmianę. Czasami są to ludzie w tłumie, których nie dostrzega się na co dzień, natomiast oni są i warto o nich mówić. Myślę, że oni najbardziej potrzebują docenienia i dlatego chciałabym o nich powiedzieć.

BS: No to mówmy. Mam ciarki... Czuję, że to będzie niezwykła przygoda...



Pokazuje mi ławkę pod Wawelem nad Wisłą, na której widnieje napis: „Dla wszystkich, którzy kochają miasto tak jak my”. Kupiła ją wraz z mężem z miłości do Krakowa, który jest jej domem. I to nie jest pusty frazes. Chce mieszkać w pięknym otoczeniu, udowadnia, że „da się” to zrobić.



„Wierzę
w efekt
kuli
śnieżnej”

Rozmowa z Agatą Bloswick, która na co dzień zarządza międzynarodowymi projektami w firmie farmaceutycznej. Współtworzy także akcje społeczną aDaSie. Agata potrafi rozciągnąć dobę do 32 godzin oraz pogodzić pracę zawodową, dom i swoje zamiłowania społeczne... aDaSie to odpowiedź na polskie „Nie Da Się”. To społeczna inicjatywa non-profit łącząca osoby i grupy, które chcą tworzyć przyjazne społeczeństwo lokalne, oparte na wolontariacie i współpracy.

Im jest nas więcej
robiących takie
z pozoru szalone
rzeczy, tym więcej
ludzi zatrzyma się
i pomyśli przez
chwilę

Bernadeta Szczypta: Postawa: „A właśnie, że się da”, czyli wasze aDaSie, nie jest postawą w Polsce powszechną, bo nawet jeśli ludzie tak myślą i po swojemu jakoś próbują działać, to trudno im porwać za sobą innych. Wam się udało. Jakie były narodziny aDaSiów?

Agata Bloswick: Zaczęło się od mojej firmy, która co roku daje nam jeden dzień na działania charytatywne, możemy robić co chcemy. W ubiegłym roku zarejestrowałam się jako dawca szpiku, ale pomyślałam, że to jest bierne działanie, bo siedzę i czekam. Tym razem postanowiłam być aktywna. Akurat przeprowadziłam się do nowej okolicy i wkurzało mnie, że jeden kwartał jest zapisany graffiti. Postanowiłam coś z tym zrobić. Stwierdziłam, że kupię farbę, zbiorę ludzi, zamalujemy, a rada dzielnicy pomoże nam zorganizować piknik, bo wtedy jest łatwiej zachęcić ludzi do działania. Ostatecznie rada dzielnicy nie włączyła się, mówili, że nie można, bo to własność prywatna. Więc sami zebraliśmy ludzi i to zrobiliśmy.

BS: Co to byli za ludzie?

AB: To była Cafe Obywatelska, mój mąż i wszyscy, którzy napatoczyli się – jeden z sąsiadów, grupa studentów. W sumie malowało 8 osób. A ponieważ był tak fajny odbiór tego, co zrobiliśmy, stwierdziliśmy, że trzeba iść dalej, no bo skoro mamy już kilka ścian załatwionych, to trzeba kontynuować działania. Już wcześniej pod blokiem sadiłam kwiatki, bratki i stokrotki tylko po to, żeby donice nie stały puste, żeby coś się działo. Pomyślałam więc, że zrobimy taką właśnie akcję, będziemy rozwiązywać drobne problemy. Mamy w mieście graffiti, wszechobecne śmieci, puste donice. Wiecznie słyszymy, że nie ma na to pieniędzy, że ktoś

musi to zrobić, no to dlaczego nie my? No i stąd wzięła się cała ta akcja. Dodam, że pierwsze malowanie było w listopadzie ubiegłego roku.

BS: A wcześniej to były „tylko” te kwiatki, bratki i stokrotki?

AB: Tak, takie pojedyncze sadzenie kwiatków pod blokiem. Nic więcej się nie działo. A taka większa akcja obywatelska, z zaangażowaniem wolontariuszy, zaczęła się w listopadzie i tak nam udało się rozrosnąć.

BS: Co tobą kierowało, kiedy sadiłaś te kwiatki? Przecież mnóstwo ludzi mieszka w bloku, inni mogli sadić, dlaczego to byłaś właśnie ty?

AB: Uważam, że przestrzeń publiczna w mieście, w którym mieszkam, jest tak samo moja jak to, co mam u siebie w domu. Natomiast wiele osób uważa, że to „ich” kończy się na wycieraczce mieszkania i to co jest dalej, już ich nie interesuje. Nie interesuje ich, czy mają popisaną windę, odrapane ściany na klatce schodowej, zajeżdżone chodniki czy zarośnięte donice. Mnie to zawsze drażniło. Popisaną windę szorowałam jakimś środkiem czyszczącym. Denerwowało mnie, gdy pani sprzątająca nie domywała okien, więc poprawiałam po niej. Denerwowały mnie zadeptane donice, więc sadiłam kwiatki. A ponieważ często było tak, że widział mnie jeden, drugi, trzeci sąsiad, to na drugi dzień widziałam jego robiącego to samo.

BS: A nie pukali w czoło, nie pytali: „Po co pani to robi?”

AB: Pewnie że pytali, ale mówili też: „Aha, wystarczy 5 minut, żeby posadzić jednego kwiatka, muszę wydać 2 złote, żeby kupić jedną

doniczkę bratków, może to nie jest taki wielki problem?”. I to się samo działo. Na przykład specjalnie sadziłam tylko pół donicy, żeby drugie pół było puste. I wypełniała się ta donica, nie wiem, kto to robił, ale ktoś stwierdzał, że może dosadzić drugie pół. W ubiegłym roku w donicy pod blokiem posadziłam poziomki. Pięknie rosły, owocowały, znikwały, więc ktoś je sobie podjadał i w końcu zniknął jeden krzaczek. Mogłam pomyśleć, że ludzie to świny i że nic więcej nie zrobię, ale stwierdziłam, że może ktoś zauważy puste miejsce i coś tam dosadzi. Znowu pojawiły się tam bratki, aksamitki, takie niedrogie wdzięczne kwiatki, które utrzymują się przez cały sezon.

BS: Zachęcałaś sąsiadów do sadzenia kwiatków czy robiłaś swoje i nie interesowało cię, co ludzie myślą? A może mówiłaś: „Pani Zosiu posadziłam pół donicy, to może pani posadzi drugie pół?”.

AB: Robiłam swoje i zostawiałam miejsce na dokończenie. Niczego nie sugerowałam, to samo się robiło. I o to chyba chodzi, im jest nas więcej robiących takie z pozoru szalone rzeczy, tym więcej ludzi zatrzyma się i pomyśli przez chwilę. I nawet jeśli 10 osób, które nas zobaczą, tylko jedna coś zrobi, to jest to zawsze jedna osoba więcej, bo z kolei ktoś ją zobaczy robiącą coś dobrego i ten ktoś będzie to powtarzać. I tak właśnie działa zasada „podaj dalej”, bez przekonywania, bo przecież nie każdy ma czas, ochotę czy czuje się dobrze w takich rzeczach. Ale jeżeli 10% osób, które to zobaczą, stwierdzi, że może coś takiego zrobić, to jest to zupełnie wystarczające.

BS: Czyli przykład jest tutaj najważniejszy, chodzi o to, żeby ludzie zobaczyli że można?

AB: aDaSie (śmiech). Stąd właśnie wzięła się ta nasza idea. Dużo ludzi pytało, po co będziemy

Sadziłam tylko pół donicy, żeby drugie pół było puste. I wypełniała się ta donica






to robić. Mówili: „Przecież za chwilę ktoś przyjdzie i zamaluje, ukradnie kwiatki, naśmiec, nie ma sensu, nie da się, zawsze tak będziemy mieszkać”.

My mówimy: „aDaSie, da się to zrobić, każdy z nas może to zrobić, to są proste rzeczy”.

W nas Polakach jest coś takiego, chyba przez historię, że jesteśmy „my społeczeństwo” kontra „władza”, czyli jeśli urząd coś robi, to są to „oni”, a my jesteśmy „my”. Nie za bardzo szanujemy to, co urząd wykona, bo myślimy, że oni i tak po drodze coś zmarnotrawili. Zawsze znajdziemy powód do narzekania. A jeśli „my” sobie to zrobimy, my krakowianie, nawet jeśli nie my osobiście, tylko ktoś inny, to będziemy tego pilnować. Bo jak sami coś zrobimy, to szanujemy to. Pokazujemy, że da się zrobić, że to są proste rzeczy, które naprawdę nie zajmują dużo czasu...

BS: Ani wielkich pieniędzy, ich brak często jest pretekstem, żeby nic nie robić.

AB: Do tej pory na wszystkie nasze akcje wydaliśmy na jedną osobę nie więcej niż 30 złotych. Pomalowaliśmy w kilku miejscach, zorganizowaliśmy wielki piknik sąsiedzki, teraz zabieramy się za akcję sprzątania Krakowa i to naprawdę nie pochłania wielkich pieniędzy. Bo po pierwsze, każdy z nas ma trochę farby w piwnicy. Nawet jeśli jest to farba wewnętrzna, a my ratujemy ścianę zewnętrzną, to może nie przetrwa 20 lat, ale przecież nie o to chodzi, ważne, żeby na chwilę podziałać. Mamy więc resztki farby wygrzebane gdzieś tam w piwnicy. Po drugie zgłosiła się do nas firma remontowa, która przeczytała o nas w gazecie i przekazała nam resztki farb po remontach, w sumie 300 litrów. Po trzecie zbieramy to, co kto ma: ja czas, inny brudną ścianę, ktoś farbę, więc jak nasza trójka się spotka to już jest działanie. Przyszedł do nas chłopak, który oglądał zdjęcia z naszych akcji i zauważył, że jedne pomalowane drzwi transformatora są zamazane. Miał farbę w piwnicy, przyszedł z nią i wkręciliśmy go w nasze działania. Teraz jest naszym bardzo aktywnym wolontariuszem.



Chcemy
jak najwięcej zrobić
własnym sumptem

BS: Nie macie takiej pokusy, żeby teraz, kiedy już widać efekty waszej działalności, domagać się pieniędzy, na przykład od samorządu? Jak długo można działać tak jak wy działacie, a może właśnie tak trzeba?

AB: Wychodzę z założenia, że pieniądze nie są problemem. Pieniądze czy farbę da się zorganizować, można iść do dużych firm, poszukać sponsorów. Najbardziej boję się tego, że będę mieć 400 litrów farby i ani jednego wolontariusza. Więc póki co skupiamy się na przygotowaniu tych naszych, brzydko mówiąc, zasobów ludzkich. Chodzi o to, żeby w każdej dzielnicy mieć przynajmniej jedną osobę, która będzie tym lokalnym liderem, kimś, kto będzie wiedział, gdzie jest brudna ściana, gdzie trzeba posprzątać śmieci, zasadzić kwiatki, jakie są lokalne potrzeby dzielnicy, które my możemy we własnym zakresie rozwiązać. Poza tym, jak już będziemy robić akcję, będziemy wiedzieć do kogo iść, kto będzie osobą odpowiedzialną, na przykład za dystrybucję farby czy worków na śmieci. Więc na razie skupiamy się na budowaniu zasobów ludzkich. I jeśli jest to oddolna inicjatywa, to nie możemy teraz, tak naprawdę na początku naszej działalności, pójść do miasta po pomoc, bo wtedy przestaje to być oddolną inicjatywą. Chcemy jak najwięcej zrobić własnym sumptem, pokazać że mamy tę siłę rażenia, że można działać bez żadnego wsparcia, że może to robić każdy. I jeśli załatwimy to wszystko we własnym zakresie i jeśli są to drobne koszty, a tak naprawdę ich w ogóle nie ma, to nagle robi się coś, co można skopiować w dowolnym miejscu w Polsce czy na świecie.

BS: Dużo czasu zajmuje ci działalność społeczna?

AB: Pracuję na cały etat, mam dziecko, szczeniaka, który jest jak drugie dziecko i wymaga

Nasza akcja polega na tym, żeby ruszyć się i zrobić coś dla miasta

opieki. Więc wydawałoby się, że powinnam już na nic nie mieć czasu i mówić „nie da się”. A ta działalność to tak naprawdę 15 minut tu 20 minut tam, to są rzeczy, które mogę zrobić przy okazji, na przykład jadąc samochodem, załatwiam coś przez telefon albo spotykając się ze znajomymi, wspominam o czymś i samo się kręci. W mojej firmie dużo osób, tak jak ja, pracuje w domu i brakuje nam kontaktu z ludźmi, więc kiedy rzuciłam temat akcji, od razu miałam kilkadziesiąt kolejnych osób, które powiedziały, że to fajny pomysł, bo ruszymy się z domu i coś zrobimy razem. Tego typu deklaracji mam bardzo dużo.

BS: I co wtedy sobie myślisz?

AB: Że to jest takie proste i oczywiste, dlaczego nikt tego wcześniej nie wymyślił? (Śmiech). Nawet nie mówię o nazwie, bo jest dość intrygująca, ale to, że da się, że można. Co ciekawe, jest dużo tego typu akcji, tylko są rozproszone. Są ludzie, którzy zbierają śmieci w Dniu Ziemi, ktoś inny w pierwszy dzień wiosny sprząta park. Te akcje nie są nagłośnione, oni to robią w jakimś gronie 5-6 osób. Postrzegani są jako właśnie ci szaleńcy z workami. Ktoś tam sam zamalowuje na bloku napisy, bo go drażnią, ale robi to po cichu, żeby nikt nie zobaczył go, bo jeszcze ktoś sobie pomyśli, że to on jest autorem tych malunków. Więc pomyśleliśmy, że jak się zbierzemy i pokażemy, że nie są sami, to będzie to bardzo fajne i w ten sposób zrobimy ogólnokrakowską akcję. Pokażemy, że po pierwsze nawet jeśli jesteś tym wariatem z workiem czy pędzlem, to nie jesteś sam, a po drugie, jeżeli ktoś zobaczy, że jest 20 osób, które robią coś fajnego, to za chwilę będzie ich 22 a potem 25 i 30. To jest ten efekt kuli śnieżnej.

BS: Tymi działaniami podważacie to, co mówi się o Polakach, że marudzą, że nie chcą się angażować, że w kółko powtarzają: „nie da się” i „jakoś to będzie”...

AB: Ja wcale tego nie podważam. Jest mnóstwo osób, które uważają, że się nie da. Gdy zaczęliśmy naszą akcję, zanim zrobiliśmy pierwsze malowanie, przeszłam po wszystkich sklepach, które były zamazane i każdy mi powiedział: „Proszę pani, my to robiliśmy już wiele razy, ale dopóki straż miejska, dopóki miasto czegoś nie zrobi, to się nie da”. Powiedziałam: „Słuchajcie, ich jest dwóch, trzech ze sprayami, nas będzie więcej. My mamy farby za darmo, a oni muszą kupić. Więc zamęczymy dziadów, oni będą przychodzić i malować, a my wrócimy z wałkami i zamalujemy. Ktoś w końcu się poda”. Jeśli dodatkowo zobaczą, że to jest bardziej zorganizowana akcja, że wszyscy pilnujemy się, będzie to mieć większą siłę rażenia. A najważniejsze jest to, żeby zamalować wszystko od razu, żeby nie było efektu rozbitej szyby, czyli, że jeśli jest jeden napis na ścianie, to za chwilę pojawi się drugi i trzeci, i czwarty. Więc jeżeli zamalujemy wszystko za jednym zamachem, pozbieramy śmieci i później będziemy tego pilnować, gwarantuję, że efekt będzie rewelacyjny. Od listopada na żadnej ze ścian, którą zamalowaliśmy, napis się nie pojawił.

BS: To co z tymi marudzącymi i z tymi co „się nie da”? Nie ma co się nimi przejmować?

AB: Wróciłam do tych sklepów po akcji malowania, pytam: „i jak”? „A wie pani, rzeczywiście, może jakoś to będzie, rzeczywiście jest fajnie”. I teraz sami mówią: „A może kupilibyśmy spray i odmalowalibyśmy jeszcze rolety?”. Sami teraz zaczynają myśleć, jak się zorganizować i zaczynają widzieć sens naszej akcji. Te same sklepy zaangażowaliśmy w nasz piknik, żeby dostarczyły jakieś wypieki, żeby integrować społeczność lokalną.



Ale nie jest tak, że każdy patrzy i mówi „super”. Jedna pani powiedziała, że może byśmy najpierw trochę tynk wyrównali zamiast po nim malować. No oczywiście, możemy poczekać aż nam wilgę wybudują, obłożą marmurem... W naszej akcji nie chodzi o to, że będziemy remontować Kraków, nasza akcja polega na tym, żeby ruszyć się i zrobić coś dla miasta.

BS: Odpowiedzialny obywatel to kto to taki, według ciebie?

AB: Jest dużo dyskusji o tym, co to znaczy być patriotą. Czy patriotą jest ten, kto idzie na marsz i macha flagą czy ten, kto sprząta, za przeproszeniem, psie kupy i płaci podatki. Więc dla mnie patriotą to ten, który widzi, że jego dom jest trochę dalej niż jego wycieraczka. To może być jego dzielnica, osiedle, dlatego że chce, a nie dlatego że musi. To jest świadomy wybór, potrzeba mieszkania w ładnym miejscu i działanie w tym kierunku, nie tylko narzekanie. Można pisać petycje, można działać w akcji takiej jak nasza, można współpracować z jakimś klubem seniora, można zajmować się starszymi sąsiadami, ale także zamieść przed swoją wycieraczką na klatce schodowej.

BS: Każdy powinien to robić?

AB: Każdy może to robić. Nie jestem z tych, którzy będą mówić: „Jeśli nie jesteś z nami, to jesteś przeciwko nam”. Ktoś kto nie robi tak jak my, nie znaczy, że jest zły do szpiku kości, tylko my jeszcze do niego nie dotarliśmy, jeszcze go nie oświeciliśmy. Wierzę w to, że każdy z tych „onych”, to jeden z nas, tylko jeszcze o tym nie wie.

Samy teraz zaczynają myśleć, jak się zorganizować i zaczynają widzieć sens naszej akcji

W nocy wróciła z Warszawy z I Kongresu Zdrowego Starzenia. Na pewno jest zmęczona, ale jestem pewna, że nawet gdyby padała z nóg, nie przyznałaby się do tego. Zwłaszcza, gdy ma opowiedzieć o swoich wielkich pasjach. Przy pachnącej herbacie mówi o swoich zaangażowanych społecznie rodzicach, o młodych ludziach, którzy chętnie angażują się w działalność na rzecz innych oraz o słuchaczach Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, który nazywa uczelnią obywatelską.



„Tego potencjału nie wolno zmarnować”

Rozmowa z Wiesławą Borczyk – od 2004 roku prezes Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i Ogólnopolskiej Federacji Stowarzyszeń Uniwersytetów Trzeciego Wieku. Brała aktywny udział w pracach międzyresortowego zespołu, którego wynikiem jest przyjęty przez rząd, w grudniu 2013 roku, tzw. „Pakiet dla seniorów”. Szczególnie cieszy się z uchwały rządu – „Założenia długofalowej polityki senioralnej w Polsce na lata 2014-2020” – pierwszy, kompleksowy dokument o charakterze ramowym, który dotyczy polityki senioralnej. Ujęto w niej najważniejsze wyzwania i działania do realizacji w ciągu najbliższych siedmiu lat w różnorodnych obszarach funkcjonowania – od zdrowia i samodzielności, poprzez usługi społeczne i opiekuńcze, aktywność społeczną, zawodową, aż po relacje międzypokoleniowe i zagadnienia związane ze „srebrną gospodarką”. Cały czas pracuje zawodowo, jest radcą prawnym, ma własną kancelarię.

Później jednak zaczyna czegoś brakować: kontaktów, rozmów, nawet poczucia, że jestem potrzebna

Bernadeta Szczypta:
Czy działalność społeczną, poczucie odpowiedzialności za to co dzieje się wokół, ma się w genach?

Wiesława Borczyk: Moi rodzice byli aktywnymi ludźmi. Mama była nauczycielką, pomagała wielu osobom bezinteresownie, potrafiła napisać pismo do urzędu, do ZUS-u. Wyrastałam w klimacie pomocy innym. Ojciec z kolei, wprawdzie był prezesem spółdzielni w Krakowie, ale w Radziszowie pod Krakowem, gdzie mieszkaliśmy, założył orkiestrę dętą, należał do komitetu budowy kanalizacji. Stworzył też zespół muzyczny dla dzieci i młodzieży przy miejscowej szkole, na zajęcia przyjeżdżał muzyk z Krakowa. W związku z tym grałam na skrzypcach, chodziłam na zajęcia chóru. Należałam też do Związku Harcerstwa Polskiego. Myślę więc, że

to wszystko gdzieś w tych genach miało początek. Chęć pomocy drugiemu człowiekowi, robienia czegoś dla innych wynosi się z domu, tego nie nauczy się ani w szkole, ani na studiach, no chyba, że ma się świetne wzorce nauczycielskie. Też nie narzekałam. Trafiłam na nauczycieli pasjonatów i to też gdzieś tam w człowieku zostało. A w życiu zawodowym, zaraz po studiach, znalazłam się blisko ludzi.

BS: Jak to się stało?

WB: Jak kończyłam prawo w 1971 roku, tworzyły się nowe jednostki – gminy. Potrzebni byli prawnicy i ja znalazłam się w takim zespole, który jeździł do podkrakowskich gmin, pomagałam im jako radca prawny. Później z kolei pracowałam w niemieckiej firmie w Nowym Sączu, to była Andrema. Nauczyłam się tam takiego zupełnie innego „prawniczenia”, byłam doradcą szefa tej firmy, właśnie w takim syste-

Chęć pomocy drugiemu człowiekowi, robienia czegoś dla innych wynosi się z domu



mie niemieckim. Jako radca prawny uczestniczyłam w zarządzaniu firmą na każdym etapie, jeśli chodzi o strukturę firmy, sprawy kadrowe, a także ekonomię, współpracę międzynarodową, inwestycje. Dzięki temu zobaczyłam tę działalność też od strony gospodarczej, pracowałam tam kilkanaście lat. Pracowałam również w urzędach administracji państwowej. Obserwowałam ludzi, którzy przychodzili do urzędu załatwiać swoje sprawy, widziałam, jak wielu rzeczy nie wiedzą, nie rozumieją, jak nie potrafią odczytać pism. I myślę, że to wszystko złożyło się na to, że w pewnym okresie życia zaczęłam zadawać sobie pytanie, co można jeszcze zrobić, żeby kiedyś, gdy mnie zabraknie albo nie będę już miała siły i energii, inni też mogli z tych doświadczeń skorzystać. Bo równocześnie widziałam wokół siebie bardzo wielu ludzi, z ogromnym potencjałem, ale nie umiejących się odnaleźć w tej rzeczywistości.

BS: Widzieć to wszystko to jedno, ale chcieć działać to drugie, jak to się stało, że podjęła pani nowe, obywatelskie wyzwania?

WB: Najpierw zobaczyłam, na czym polega praca zespołowa. To był okres reformy ustrojowej. W Nowym Sączu prowadzony był tzw. pilotaż powiatowy. Przez 2 lata wszystkie gminy sądeckie przygotowywały się do tego momentu, kiedy przestanie istnieć administracja rządowa w terenie, kiedy samorządy będą decydowały o swoim rozwoju, o warunkach życia ludzi. To było niesamowite doświadczenie. Pracowałam w zespole z profesorem Michałem Kuleszą, twórcą reformy samorządowej. To my szkoliliśmy wszystkich przyszłych starostów, członków zarządów, pisaliśmy dokumenty jak zorganizować starostwo powiatowe, powiatowe centrum pomocy rodzinie. Ludzie zaczęli rozumieć, że faktycznie o wielu rzeczach mogą sami decydować. I ta praca zespołowa towarzyszy mi do dzisiaj.

BS: Z tego co wiem, to jest to praca także z młodymi ludźmi...

WB: Tak, wspólnie z moimi aplikantami radcowskimi w ramach Uniwersytetu Trzeciego Wieku stworzyliśmy Sądecki Ośrodek Bezpłatnego Poradnictwa Prawnego dla mieszkańców. Ośrodek powstał w Nowym Sączu, także w Limanowej, czyli w sąsiednim powiecie, bo poprosił nas o to starosta powiatu limanowskiego, bo tam też było to potrzebne. To tylko kwestia organizacji, przemyślenia i znalezienia pewnych środków finansowych. Bo to miało być i jest bezpłatne poradnictwo. I właśnie o to mi chodziło, wiedziałam, że jeśli udzielę komuś porady, to będzie to tylko jedna porada, ale jak stworzę zespół, to udzieli porad o wiele większej ilości ludzi. Oczywiście, że ten zespół najpierw trzeba było przygotować, rozmawiać z nimi, dzielić się przemyśleniami, a także słuchać ich, bo oni, jako młode pokolenie, też mają swoje spostrzeżenia, też mają swoją ocenę tego stanu. Ja jestem z pewnym bagażem historycznym, a oni na wiele spraw patrzą inaczej.



BS: W tym roku mija 10 lat od powstania Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, co powoduje, że ma tak wielu słuchaczy, że ludziom chce się przychodzić na zajęcia?

WB: Ludzie, którzy przechodzą na emeryturę, często myślą, że będzie to okres szczęśliwości i pewnie przez pewien czas jest ta radość, że na przykład, nie trzeba rano wstawać do pracy. Później jednak zaczyna czegoś brakować: kontaktów, rozmów, nawet poczucia, że jestem potrzebny. Oczywiście, że pomaga się rodzinom, dzieciom. Ale teraz ta sytuacja też się zmienia, dzieci często wyjeżdżają ze swoich domów rodzinnych. Stąd też warto, aby na terenie miasta istniało takie miejsce, gdzie można przyjść,

posłuchać ciekawego wykładu, gdzie można zapisać się na różne zajęcia: plastyczne, fotograficzne, warsztaty psychologiczne, zajęcia ruchowe. Najpierw myśleliśmy o filii Jagiellońskiego Uniwersytetu Trzeciego, ale doszliśmy do wniosku – szczególnie po rozmowie z ówczesnym rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego panem profesorem Franciszkiem Ziejką – że środowisko sądeckie jest na tyle aktywne, ma tak ogromny potencjał, bo są tu uczelnie wyższe, są piękne obiekty samorządowe: Centrum Kultury Sokół, Mała Galeria, Miejski Ośrodek Kultury, biblioteki, że można by, w oparciu o to zaplecze, stworzyć Uniwersytet Trzeciego Wieku jako stowarzyszenie. Senat UJ wyraził zgodę na podpisanie opieki patronackiej. Taką patronacką umowę podpisaliśmy również z uczelniami sądeckim – Państwową Wyższą Szkołą Zawodową i Wyższą Szkołą Biznesu. To było bardzo ważne, żeby ta społeczna uczelnia, jaką jest Uniwersytet Trzeciego Wieku, miała dobrą kadrę naukową. Bardzo pomogły samorządy – powiatowy i miasta. Bez starosty, prezydenta byłoby nam znacznie trudniej. Na pierwszy

rok zapisało się ponad 450 osób. To był szok, nie byliśmy na to przygotowani.

BS: Na ile osób liczyliście?

WB: Na 150 – taka była nasza pierwsza próba. Ale skoro było tak duże zainteresowanie, doszliśmy do wniosku, że nie możemy się wycofać, że musimy temu sprostać. I działamy przez te 10 lat, nie mając swojego zaplecza logistycznego, etatów. Wszystko co robimy jest to praca społeczna bardzo wielu ludzi i korzystanie z bazy samorządowej, centrów kultury, małych galerii, bibliotek i uczelni wyższych w Nowym Sączu. I w oparciu o to stworzyliśmy bardzo prężną uczelnię dla seniorów, ludzi na emeryturze.

BS: A czy widzi pani w słuchaczach Uniwersytetu Trzeciego Wieku chęć działania społecznego? Czy to teraz, na emeryturze, jest ten czas kiedy oni biorą odpowiedzialność za to, co dzieje się wokół nich?

WB: Bardzo dużo osób ma ogromne doświadczenie zawodowe, z reguły są to osoby wykształcone, mają swoje pasje. Ważne tylko, żeby im stworzyć takie warunki, żeby mogli się otworzyć. Trzeba ich poważnie potraktować, dać im prawo wyboru. My niczego nie narzucamy, my proponujemy. Zarząd Sądeckiego Uniwersytetu to 9 osób, to pokazuje aktywność tych ludzi. Spotykamy się regularnie raz, dwa razy w miesiącu. Rozmawiamy, układamy program na cały rok akademicki. Słuchacze spotykają się podczas wykładów audytoryjnych oraz w poszczególnych sekcjach. Tam, w tych sekcjach znają się jeszcze lepiej. Wybierają starostę sekcji, wicestarostę, radę programową. Chodzi o to, aby sami mieli wpływ na to, czego się uczą, kogo mamy zaprosić, gdzie chcą wyjechać na wycieczkę. Mogą więc pokazać swoją inicjatywę. I to się dzieje.



Wszystko
co robimy
to praca
społeczna

BS: Czy był taki moment, że miała pani problem z doбором współpracowników albo z namówieniem różnych instytucji do współpracy? Czy były takie chwile zwątpienia?

WB: To było tak. Prosiłam kogoś o wykład, ten ktoś przychodził i widział całą salę eleganckich ludzi, ładne ubrania, cisza na wykładzie, kultura już na dzień dobry i szacunek dla człowieka, który do nich mówi i te pytania niezłośliwe, nie po to, żeby kogoś poszczypać, tylko sensowne... No to ten ktoś był zachwycony. Zobaczyłam więc, że możemy zapraszać na te spotkania i prezydenta, i starostę, i dyrektora jednej czy drugiej instytucji, i lekarzy, którzy mogliby powiedzieć o tym, co jest ważne w starszym wieku w zakresie medycyny... Praktycznie nie miałam z tym problemów. Działalność Uniwersytetu Trzeciego Wieku jako stowarzyszenia daje większe możliwości; bo uniwersytety działają w Polsce w różnych formułach. Te, które funkcjonują w ramach uczelni wyższych, korzystają z bazy uczelni, płacą czesne, ale jest to jednak ograniczona samodzielność, bo o wszystkich sprawach organizacyjnych decyduje senat uczelni, prorektor czy pełnomocnik do spraw Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jest to bardzo silny związek z całą uczelnią. A w stowarzyszeniu, wiadomo, jest zarząd, jest komisja rewizyjna. Sami dbamy o logistykę, o pieniądze na działalność. Kiedy tylko stworzyła się możliwość aktywności obywatelskiej i występowania w konkursach o granty, to włączyliśmy do tego młodych ludzi, tych właśnie, którzy byli u mnie na aplikacji, ale także tych, którzy przyszli z urzędu pracy, na staż, na przykład do prowadzenia sekretariatu. I niektórzy zostali z nami do tej pory, tylko nie na etatach, ale w ramach projektów, nauczyli się je pisać. Najpierw pisałam z nimi takie projekty po 2, 3 tysiące do urzędu miasta, marszałka województwa, dzisiaj piszemy projekty europejskie.

Jeżeli zrobiło się krok i jest jakiś efekt, to myśli się, czy skala tego nie mogłaby być większa

BS: Tu mówimy już o łączności międzypokoleniowej...

WB: Zdecydowanie tak, poza tym studenci informatyki Wyższej Szkoły Zawodowej przez cały rok akademicki prowadzą zajęcia komputerowe dla naszych słuchaczy.

Niektórzy zaczynają od tego co to jest myszka, inni w kolejnych latach idą już trochę dalej i osiągają kolejne stopnie wtajemniczenia, korzystają z poczty elektronicznej, ze skype'a.

BS: Co pani czuje, kiedy widzi te postępy?

WB: Podam taki symboliczny przykład. Idę kiedyś ulicą Jagiellońską, jest to główny deptak Nowego Sącza. Podchodzi do mnie starszy pan, i mówi: „Pani prezes, chciałem pani bardzo podziękować. Wysłałem mejla do moich wnuków w Kanadzie. Pani wie, ile ja zyskałem w ich oczach? A jaki ja byłem szczęśliwy, gdy oni się ucieszyli, że dziadek z Nowego Sącza mejla wysłał!” (śmiech). To są rzeczy, które naprawdę się zdarzają.

BS: Co, pani zdaniem, przeszkadza seniorom w aktywności? Jeszcze ciągle wiele osób jest pozamykanych w domach.

WB: Sprawa jest złożona, w każdym społeczeństwie, czy to będą ludzie starsi, czy młodszy, jest grupa, która ma potrzebę robienia czegoś więcej niż przeciętnie. Jest i taka grupa, która gdyby nie było trzeba, to nie wstawałaby od telewizora. Ludziom na emeryturze trzeba stworzyć jakąś propozycję, żeby wychodzili z domu, mogą to być uniwersytety trzeciego wieku, kluby seniora, centra aktywności seniorów. Zachęcamy też naszych ludzi do aktywizowania tych, którzy



siedzą w domach. Wydajemy Biuletyn Sądeckiego UTW, sami słuchacze go piszą. Mówię im, jak przeczytałeś to pozbieraj od kolegów i podaj do Domu Pomocy Społecznej, może masz sąsiada za ścianą, który nie wychodzi, może masz znajomych, którzy się zachęca. Proponuję, ale nie mogę niczego nikomu nakazać, w każdym razie możliwości jest sporo. Nasi ludzie zbierają się na takich nieformalnych spotkaniach, razem śpiewają, organizują andrzejki. Ci, którzy chcą, są w stanie przyjść, zainteresować się, uczestniczyć w zajęciach. Ci, którzy są większymi indywidualistami, mogą korzystać z dostępu do internetu. Są też ludzie, którzy lubią wycieczki, to je sobie organizują. Jest również możliwość działania w różnych organizacjach przy parafiach. Zachęciliśmy też część naszych słuchaczy, aby byli wolontariuszami dla rodzin wiodzietnych i dla rodzin zastępczych. Widzę, że to dobry kierunek. Nie wszyscy jeszcze rozumieją, czym jest wolontariat. Jesteśmy tym starszym pokoleniem, kiedy mówiło się o czynach społecznych, dzisiaj używa się słowa wolontariat.



Na wszystkich spotkaniach, w całej Polsce powtarzam, że tego ogromnego potencjału seniorów nie wolno zmarnować

BS: Co panią napędza do działania? Ma pani tyle energii, tyle pomysłów...

WB: (śmiech) Nie wiem, jest coś takiego w człowieku... to nie jest kwestia wyszukiwania czegoś, to jedno wynika z drugiego. Jeżeli zrobiło się krok i jest jakiś

efekt, to myśli się, czy skala tego nie mogłaby być większa. Na przykład bezpłatne porady prawne. Mógłby być jeden radca prawny, raz w tygodniu. W tej chwili są to zespoły 10-osobowe. Dlaczego tak duże? Bo mam świadomość, że nie wszyscy są alfą i omegą w jednym temacie. Jeśli ktoś jest dobrym karnistą, to nie zawsze będzie dobrym cywilistą, jeżeli zna się dobrze na prawie pracy, to niech udziela porad w tym zakresie. Nawet mamy osoby, które nie są prawnikami, na przykład emerytowana dyrektor ośrodka pomocy społecznej i ona jest świetnym informatorem, gdzie, jakie sprawy można załatwić. Jest ogromną kopalnią wiedzy. To jest właśnie wykorzystanie potencjału ludzi, którzy dzisiaj nie pracują już zawodowo, ale kiedy pracowali zdobyli ogromną wiedzę, potrafią poruszać się w przepisach, procedurach. I to jest bardzo potrzebne. Na wszystkich spotkaniach, w całej Polsce powtarzam, że tego ogromnego potencjału seniorów nie wolno zmarnować.

Kiedy na nią patrzę, to myślę, że jeśli ktoś umiałby przenosić góry, to byłaby to właśnie ona. Kiedy opowiada o zmianie świata, to wierzę, że można tego dokonać tak jak ona to robi, zaczynając od swojego najbliższego otoczenia. Żeby działać najpierw musiała wyjechać za ocean, a gdy wróciła, już nic nie było takie jak wcześniej.



„Ciągle
młoda, choć
nieco mniej
gniewna”

Rozmowa z Beatą Budzik – prezes Małopolskiego Towarzystwa Oświatowego, nauczycielka a wcześniej także dyrektorka Zespołu Szkół Społecznych Splot (1999-2009), trenerka grup dorosłych, twórczyni i koordynatorka licznych projektów międzynarodowych.

Bernadeta Szczypta: Kiedy pomyślała pani o tym, że można zmieniać świat?

Beata Budzik: To był 1991 rok, kończyłam studia, szukałam swojego miejsca w życiu. Miałam głowę pełną ideałów. Właśnie zmieniła się sytuacja polityczna w Polsce. Wydawało mi się, że mogę zmienić ten świat. I trafiłam do pracy w samorządzie. Wydawało mi się, że to jest ta praca społeczna.

BS: A podczas studiów angażowała się pani w działalność społeczną?

BB: Moje studia przypadły na trudne czasy, to była połowa lat 80. Nie dało się być obojętnym. Poza tym studiowałam historię, ludzie na moim roku byli bardzo zaangażowani w to, co się działo. Wiadomo, że sercem byliśmy przy Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, obserwowaliśmy obrady Okrągłego Stołu. Prawdo-

Wierzymy
w demokrację
od podstaw,
w to, że ludzie,
mogą zmieniać
rzeczywistość
wokół siebie

podobnie ten okres studiów miał wpływ na to, co działo się ze mną później, ja po prostu chciałam uczestniczyć w budowie tej lepszej Polski, mojej Polski, nowej Polski... (chwila zadumy) może Polska brzmi zbyt abstrakcyjnie, więc tego mojego kawałka świata.

BS: Tej małej ojczyzny? Już wtedy pani myślała o małej ojczyźnie?

BB: Tak. Do dzisiaj uważam, że żeby zmieniać świat trzeba zacząć od siebie i swojej najbliższej okolicy. Dlatego trafiłam tu gdzie teraz jestem. Ale często jest tak, że to przypadek decyduje o tym, że wybieramy tę, a nie inną drogę. A ja spotkałam pewnych ludzi na swojej drodze. I taką osobą była Ala Derkowska zawiązana ze strukturami „Solidarności”. Do dzisiaj jest nieprawdopodobną idealistką, odbieramy na tych samych falach, chcemy pracować dla dobra ogółu. Wtedy nie podobała nam się szkoła, z której wyszliśmy, a ponieważ nie było szans na zmianę szkoły publicznej, Ala założyła jedną z pierwszych w Polsce Szkół Społecznych Splot – to był 1989 rok. Rok wcześniej założyła Małopolskie Towarzystwo Oświatowe. Ja dołączyłam po studiach. W programach nauczania znalazły się nasze programy budowania otwartego, aktywnego obywatela. I nagle okazało się, że mamy takie narzędzia, że trzeba się tym dzielić. I tak dzielimy się do dzisiaj. I są to nie tylko pomysły oświatowe. Zaczęliśmy pomagać organizować się mieszkańcom innych krajów. Wierzymy w demokrację od podstaw, w to, że ludzie, mogą zmieniać rzeczywistość wokół siebie.

BS: Tę rzeczywistość chciała też Pani zmieniać pracując w samorządzie, czy to się udało?



Wierzę
w odpowiedzialność
i obywatelskość

BB: (Westchnienie) Kiedy skończyłam studia uważałam, że każdy człowiek powinien być aktywny, że najgorszą rzeczą jest bierność. Mieszkałam wtedy w małej miejscowości, Piwnicznej. Pomyślałam, że młodzi, aktywni ludzie powinni wejść do samorządu, że trzeba wpuścić taki powiew świeżości.

BS: Jako młoda osoba interesowała się pani tym, co wtedy robiła, czym zajmowała się rada gminy w Piwnicznej?

BB: Przyjechałam do mojego miasta z Krakowa i zobaczyłam, że potencjał jest ogromny, ale jest to miejscowość zaniedbana w różnych aspektach. Pomyślałam, że może uda się coś zmienić. I może to była bardziej spontaniczna niż świadoma decyzja, ale uznałam, że warto spróbować. Tak się złożyło, że moja postawa spodobała się ludziom. Pomimo że było kilku kandydatów, oni zaufali komuś młodemu, nieobciążonemu powiązaniami...

BS: Wykształconemu...

BB: Tak, uważano, że może będą nowe pomysły. Zresztą ta rada, która wtedy powstała, była stosunkowo młoda. Była frakcja starszych, doświadczonych i frakcja młodych, z pomysłami. Ale rzeczywistość bardzo szybko zweryfikowała moje wyobrażenia.

BS: Jak szybko?

BB: Bardzo szybko. To były pierwsze głosowania na temat strategii rozwoju gminy. Okazało się, że bez względu na to, jaki jest przedmiot głosowania, czy to jest fajny pomysł, czy nie, to ręce podnoszono tak samo. Zawsze była jakaś grupa za i zawsze jakaś grupa przeciw. Nas było 4-5 osób, które głosowały zgodnie ze swoim rozumem.

BS: Młodych, gniewnych?

BB: Tak i to też nie zawsze się podobało.

BS: Była pani wtedy sfrustrowana?

BB: Tak, sposobem pracy rady. Rozumiałam to wtedy tak, że nie liczy się przyszłość, tylko że ktoś jest związany z tymi a nie innymi osobami. Podjęłam wtedy decyzję, że już nie będę próbowała w ten sposób pracować, zresztą spotkałam już Alę i weszłam w pracę społeczną.

BS: Doczekała pani do końca kadencji?

BB: Tak, oczywiście. Tak się złożyło, że kadencja się skończyła a ja miałam możliwość wyjazdu na stypendium do Stanów Zjednoczonych. Wyjechałam na rok, wróciłam wyposażona w narzędzia, wiedzę, naładowana innym światem. Dostałam tam energię, która pomogła mi później fajnie zafunkcjonować, nie zaczęłam powoli, tylko od razu bardzo mocno.

BS: Rozumiem, że to stypendium w USA odegrało bardzo ważną rolę w pani późniejszej działalności.

BB: Zmieniło mnie na pewno. Aplikowałam o stypendium Kongresu Stanów Zjednoczonych dla ludzi związanych z edukacją, takich, którzy chcą zmieniać edukację. Już wtedy realizowałam programy obywatelskie w szkole, w której pracowałam. W USA trafiłam do bardzo fajnego miejsca, bo na Georgetown w Waszyngtonie. Zobaczyłam, że można działać w różny sposób, że niekoniecznie muszę się liczyć z jakimiś zależnościami, że wszystko zależy ode mnie. Nabrałam nieprawdopodobnej pewności siebie, bo to też jest ważne. Nauczyłam się jak można zarządzać ludźmi i sobą.



Uczymy, że odpowiedzialność, to ponoszenie konsekwencji za swoje działania

BS: A jak w USA reagowała pani na obywatelskość, z której słyną Amerykanie?

BB: To był 1995 rok. Dla mnie wszystko w USA było nowe i dziwne. Począwszy od tolerancji, która była na każdym kroku, co nie było takie oczywiste w Polsce, zakończywszy na aktywności, uczestnictwie w życiu społecznym na różnych poziomach. Już wcześniej współpracowaliśmy z amerykańskim Stowarzyszeniem Educators for Social Responsibility i koncentrowaliśmy się na zależności między wolnością a odpowiedzialnością. I byłam bardzo wyczulona, aby zauważać w Stanach tę odpowiedzialność. Ale niektóre rzeczy i tak były dla mnie wtedy śmieszne, na przykład, że jak Amerykanin idzie na spacer ze swoim psem, to sprząta po nim. Dla nas wtedy to było nieoczywiste. Chodziłam do szkoły, w której szlifowałam angielski i kiedy władze chciały zamknąć tę placówkę, nauczyciele fantastycznie potrafili zmobilizować uczniów, rodziców i z petycjami ruszyć do władz dzielnic. To było nieprawdopodobne, jak oni potrafili natychmiast zorganizować się i działać, jak wiedzieli co robić. U nas wtedy było to spontaniczne, a oni dokładnie wiedzieli gdzie, kto, kiedy ma iść, jak należy napisać pismo. To były takie doświadczenia, które bardzo dużo mnie uczyły.

BS: I kiedy wróciła pani w tym 1996 roku do Polski, to pewnie było to brutalne zderzenie z rzeczywistością, odpowiedzialność w USA a u nas...

BB: Dostałam nieprawdopodobnej energii w tych Stanach i to trwa. Oczywiście, że czasami jest spadek formy i zderzamy się z rzeczywistością i bardzo trudno przebić się przez

mur partykularyzmu. Ale wiem, jak ta wolność i odpowiedzialność może wyglądać, a poza tym przez te 25 lat naprawdę wiele udało się osiągnąć.

BS: Widzi pani te zmiany?

BB: Jasne, chociażby w świadomości ludzi. Oczywiście, że część jest nieaktywna, ale przecież w Stanach też są ludzie, którzy nie angażują się społecznie czy politycznie. A my przecież potrafimy zmobilizować ludzi do różnych akcji. Na terenie Nowego Sącza działa 100 organizacji pozarządowych. Potrafimy się dogadywać, może jeszcze na niskim poziomie, ale jednak. Powstają budżety partycypacyjne, ludzie uczestniczą w podejmowaniu decyzji, wystarczy pojechać do tych wiosek dookoła, ile tam fantastycznych rzeczy powstaje! To świadczy o tym, że idziemy w dobrym kierunku, pewnie nie tak szybko jak byśmy chcieli...

BS: Chciałaby pani, żeby to wszystko działo się szybciej, czy pogodziła się pani z tym tempem?

BB: Zrozumiałam, że niektóre rzeczy potrzebują czasu. Bo to jest tak, że z biegiem lat człowiek jest bardziej pokorny. Jak przyjechałam ze Stanów i jak zaczęłam działać, to byłam niecierpliwa. Wydawało mi się, że mój pomysł jest najlepszy i musi zostać wprowadzony. Później okazało się, że może te moje, nasze pomysły, nie są najlepsze, że może ktoś ma fajniejszy pomysł, że może warto przemyśleć niektóre rzeczy. W Towarzystwie wielokrotnie weryfikowaliśmy nasze drogi, nasze strategie. Pojawiła się taka świadomość, że pewne procesy muszą zajść w pewnym czasie, żeby nie popełnić błędów wynikających z niecierpliwości. Ludzie potrzebują czasu, żeby do pewnych rzeczy dojrzeć. I ta świadomość we mnie jest. Oczywiście, że denerwują mnie niektóre rzeczy, cho-

ciażby styl pracy ludzi, którzy jednak decydują o nas, ale może kiedyś to się zmieni, może jednak znajdą się ludzie aktywni, którzy będą kandydować i zastąpią tych, którzy cementują tę scenę samorządową. Trzeba poczekać i tyle, natomiast uważam, że idziemy w dobrym kierunku.

BS: Czym jest dla pani praca w szkole?

BB: Ogromną satysfakcją, uważam że to jest moje miejsce na świecie.

BS: Jaka jest młodzież z którą się Pani spotyka?

BB: Bardzo różna. Pamiętam młodzież z lat 90., która miała mnóstwo energii, żyła tamtymi wydarzeniami, bo przecież wszyscy tym żyliśmy. Później przyszła młodzież już nie taka zaangażowana, patrzyliśmy na to ze smutkiem,

miałam wrażenie, że było im wszystko jedno, trudno było ich zmobilizować. Natomiast od wielu już lat obserwuję młodzież, która może nie jest zaangażowana politycznie, ale jest nieprawdopodobnie zaangażowana społecznie. To ludzie, którzy chcą poświęcać swój wolny czas dla drugiego człowieka, czyli wolontariusze. Sprawia im satysfakcję, gdy zbiorą żywność, przygotowują paczki i z ekipą świętego Mikołaja rozwożą je po domach. Chętnie odpowiadają na każdą propozycję pracy społecznej, ale co ciekawe, sami zaczynają wymyślać projekty i tylko potrzebują wsparcia, żeby się zorganizować albo znaleźć odpowiednich ludzi. My czasami mówimy: „W porządku, pokażemy wam kierunki, ale działajcie sami”. Staramy się uczyć ich samodzielności. I robimy to nie tylko w szkole. Małopolskie Towarzystwo Oświatowe współpracuje z wieloma organizacjami, bardzo często za granicą, nasze doświadczenia wykorzystujemy w pracy z lokalnymi liderami, to są młodzi ludzie, którzy mieszkają na Biało-



Do dzisiaj uważam, że żeby zmieniać świat trzeba zacząć od siebie i swojej najbliższej okolicy



rusi, to jest też Mołdowa. Pokazujemy im, jak można zmienić, małymi kroczkami, rzeczywistość wokół siebie. To są wieloletnie programy zagraniczne, pracowałyśmy też w Gruzji, Azerbejdżanie, na Bałkanach.

Ludzie
potrzebują
czasu, żeby
do pewnych
rzeczy
dojrzeć

BS: W jaki sposób w szkole uczycie młodych ludzi postaw obywatelskich?

BB: Różnie w różnych okresach. Na początku oddaliśmy im przestrzeń wokół nich, czyli szkołę. Pierwsze roczniki tworzyły konstytucję szkoły. Konstytucja dostała nawet nagrodę w ogólnopolskim konkursie. To była ogromna motywacja dla naszych uczniów, pojechali do Warszawy, gdzie się okazało, że napisana przez nich konstytucja ma ręce i nogi. Stworzyli prawo i pilnowali jego przestrzegania. Mieli rzecznika praw uczniów, sąd rozjemczy, przeprowadzali wybory do samorządu szkolnego, była nawet kampania wyborcza. Teraz natomiast zachęcamy ich do samodzielności. Jesteśmy wsparciem, uczymy jak zorganizować się w grupę, jak ją prowadzić, jak zorganizować akcję. Ale samą akcję, młodzież przeprowadza sama, nie ma nauczyciela, który by ich prowadził za



rączkę. Jeżeli podejmują jakąś decyzję, to muszą ponieść jej konsekwencje. Uczymy, że odpowiedzialność, to ponoszenie konsekwencji za swoje działania. Mamy też program edukacji prawnej, pokazujemy, jak działa prawo na każdym etapie życia. Mówimy o tym, że można zrobić niewielką rzecz a konsekwencje są poważne.

BS: Nie zapytam, czy ciągle wierzy pani w sens działalności obywatelskiej, bo to wydaje się oczywiste...

BB: Nie robiłabym tego co robię, gdybym nie wierzyła. Nawet nie mam momentów zwątpienia. Wszystko zależy od ludzi a ludzie są różni. A ta działalność ma sens bo ciągle idziemy w dobrym kierunku. Wierzę mimo wszystko, że jest bardzo dużo odpowiedzialnych ludzi, którzy zasiadają w radach gmin, są burmistrzami, prezydentami, posłami senatorami. Dlaczego tak myślę? Bo są budżety partycypacyjne, bo są fajne projekty, bo jest Owsiak i są ludzie, którzy pomimo tego, że chce się upolitycznić, pewne rzeczy robią swoje, idą trochę pod prąd. Wierzę w odpowiedzialność i obywatelskość.



Jest skupiona. Obserwuje. Pewnie analizuje i wyciąga wnioski. Jak to psycholog. I słucha. A kiedy mówi, waży każde słowo.



„Wierzę w Perpetuum Mobile”

Rozmowa z Agnieszka Doruch – to trenerka biznesu, psycholog z 5-letnim doświadczeniem trenerskim oraz w zarządzaniu własną firmą i w dziale HR. Ukończyła psychologię stosowaną na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Szkołę Trenerów Biznesu „Akademia Mistrzów Treningu”. Wspiera organizacje w procesie zmiany i ciągłego rozwoju. Jedna z inicjatorek powołania Fundacji Inicjatyw Rozwojowych „Fenomeno”.



Bernadeta Szczypta: Jak powstała Fundacja Inicjatyw Rozwojowych Fenomeno?

AD: Fenomeno tworzy grupa trenerów. Spotkaliśmy się na kursie trenerskim, z 12 uczestniczących w nim osób 9 podjęło decyzję, że chce dalej ze sobą współpracować. Bardzo mocno żyliśmy się, chcieliśmy stworzyć platformę do współpracy i podać dalej, to co dostaliśmy. Stąd Fundacja, z racji wykształcenia i pasji, Inicjatyw Rozwojowych. Doszliśmy do wniosku, że wiemy, czego chcemy i tak powstał projekt Cafe Obywatelska. Chcemy wprowadzić zmianę w myśleniu, działaniu i chcemy, żeby to było widoczne w naszym otoczeniu.

BS: Skoro chcecie zmiany, to coś musi być nie tak...

AD: Jest w normie, ale zawsze może być lepiej. Chodzi o to, żeby wyjść poza swoją sferę komfortu. W tej sferze wszystko jest ładnie i fajnie: moje drzwi, moje mieszkanie, moja rodzina... I często uważamy, że nie mamy wpływu na to, co jest poza tą sferą. A przecież mamy wpływ na to, na co chcemy mieć. Wyszliśmy z założenia, że ludzie, którzy chcą coś zrobić, często nie wiedzą jak i my w Cafe im pomożemy. Chodziło o płaszczyznę do dyskusji, wyciągania wniosków. I na tej płaszczyźnie powstało wiele fantastycznych rzeczy. Okazało się, że jest wiele osób, które chcą coś zrobić. Przyszli do nas studenci a także osoby starsze, o różnym doświadczeniu. Ale jest wspólny mianownik: tym ludziom się chce. A skoro widzą, że temu się chce, tamtemu się chce, to

pojawia się myśl: „Zróbmy coś razem”.

Mam tyle korzyści z pomagania, że ciężko byłoby mi powiedzieć, że jestem altruistką

BS: Jak wyglądają spotkania w ramach Cafe?

AD: Siedzimy przy stoliku, albo kilku, najczęściej w kółku, czyli równorzędne traktowanie każdego uczestnika. Podczas tych spotkań okazuje się, że eksperci choć coś osiągnęli, są takimi samymi ludźmi jak my. To też jest coś bardzo motywującego, bo oni udowadniają, że wcale nie trzeba zrobić doktoratu, żeby prowadzić zajęcia ze studentami, wcale nie trzeba mieć partii politycznej, żeby porozmawiać o problemach społecznych, itd. Co więcej, okazuje się, że różne myśli można realizować pod jednym sztandarem. Są osoby, które chcą rozrywki, wprowadzenia pozytywnej atmosfery w formie happeningów, takie, które chcą posprzątać, pomalować, posadzić kwiatki oraz takie, które chcą pomagać innym w rozwoju. Każdy pomysł znajdzie drugą, trzecią osobę, która będzie entuzjastą i zostanie zrealizowany. Oprócz tego, że chcieliśmy dyskutować, to chcieliśmy też konkretnie działać. I tak w Krakowie powstały aDaSie.

BS: Od razu wpadła wam do głowy taka nazwa?

AD: Były różne pomysły, także wzniosłych nazw, ale doszliśmy do wniosku, że te działania są zupełnie normalne i naturalne. I okazało się, że taka prosta, najprostsza nazwa chwyciła i ma bardzo pozytywny odbiór. Kiedy ludzie dowiadują się o co chodzi, że nazwa jest nie od Adama, ale jako zaprzeczenie „Nie da się”, to jest błysk w oku, jakby sami to wymyślili. Bo to przecież jest takie oczywiste.

BS: Co aDaSie przyniosły do tej pory?

AD: Mnóstwo było akcji zmieniających otoczenie: sprzątanie, malowanie, ale chodzi też o zmianę w myśleniu. Stworzyliśmy warsztaty

z komunikacji. Widziałam niesamowitą energię i zadowolenie zarówno ze strony uczestników jak i prowadzących. Bo pomagać to znaczy inspirować. Mam tyle korzyści z pomagania, że ciężko byłoby mi powiedzieć, że jestem altruistką.

Chcemy wprowadzić zmianę w myśleniu, działaniu i chcemy, żeby to było widoczne w naszym otoczeniu

dują, w co chcą się angażować, a w co nie. I my w Cafe to szanujemy. Są osoby, które angażują się tylko w jeden segment działalności, bo to jest spójne z nimi i o to chodzi. Ale są i osoby, które angażują się we wszystko, bo mają z tego ogromną frajdę i satysfakcję. To jest grupa, jak to sami kiedyś określiliśmy, „nadaktywnych”.

BS: Jakie to korzyści?

AD: Satysfakcja osobista, wpływ na to, co mnie otacza, zmiana. Widzę, jak to działanie idzie dalej. Mamy Perpetuum Mobile. Włożona energia jest dużo mniejsza od tego co powstaje. Podobno Perpetuum Mobile nie istnieje, a moim zdaniem to ludzie są takim Perpetuum Mobile.

BS: Mówimy o postawach obywatelskich, a ani razu nie padło słowo poświęcenie.

AD: Nie lubię tego słowa. Albo coś robię, bo chcę, albo tego nie robię. Sporo jest ludzi, i to młodych, którzy chcą działać, ale nie mają ochoty się poświęcać. O ludziach młodych mówi się, że to pokolenie good enough. Spotkałam się z różnymi środowiskami studenckimi w Krakowie i to nie jest pokolenie good enough. To są bardzo świadomi ludzie, którzy mają dużą ofertę możliwości działania i rozważnie decy-

BS: Chcą czegoś więcej...

AD: Tak. Chcą więcej niż tylko wyjść ze znajomymi na piwo, choć to też jest potrzebne, ale przecież można z tymi znajomymi zrobić coś kreatywnego. Warsztaty udowodniły, że w dwie godziny można zrobić happening społeczny, można go wymyślić, zaprojektować i przeprowadzić. Mimo różnych oporów wyszli na Grodzką w śmiesznych przebraniach i robili sobie zdjęcia z przechodniami. Później szukali ponurych przechodniów, żeby ci się uśmiechnęli. Nie chcieli wrócić na salę szkoleniową, bo kontakt z ludźmi dał im mnóstwo satysfakcji.

BS: Myślicie, co w przyszłości stanie się z tymi młodymi ludźmi, którzy uczestniczą w Cafe? Czy odnajdą się w swoich środowiskach, jako działający obywatele?

Albo coś robię,
bo chcę, albo
tego nie robię



Chodzi też o odczarowanie obywatelskości z powinności, wieców, polityki, z tego wszystkiego, co ludziom źle się kojarzy

AD: Te osoby spróbują pewnych ścieżek, doświadczą pewnych rzeczy i będą mogły świadomie wybrać, to co im pasuje, a co nie. Jeżeli będzie im pasowała rola lidera, to pewnie pójdą tą drogą. Jeżeli będzie im pasowała rola osoby pomagającej, to będą to robić dobrze. Jeżeli będzie im odpowiadała rola trenera, proszę bardzo. Kończąc studia, młodzi ludzie często nie wiedzą czego chcą. Myślę, że to jest najistotniejsze pytanie, jakie człowiek może sobie zadać: „Czego chcę?”. Jeżeli zna odpowiedź, będzie podejmował takie działania, aby to osiągnąć.



BS: A Ty wiesz, czego chcesz, prawda?

AD: Tak i coraz bardziej ten obszar się rozrasta, bo jak coś dostaję, to chcę więcej. Chcę więcej działań z większą grupą, społecznością lokalną, studentami. To jest to, co kocham robić i kocham Kraków. To jest ta hybryda, która jak najbardziej mi odpowiada: Kraków i obywatelskość. Chodzi też o odczarowanie obywatelskości z powinności, wieców, polityki, z tego wszystkiego co ludziom źle się kojarzy. Obywatelskość to Perpetuum Mobile, mechanizm, który sam się napędza.

To jest to, co kocham robić i kocham Kraków





Uśmiechnięta, zadowolona, że udało jej się zaparkować samochód tyłem. Opowiada jak pokonała swoją niechęć do takiego właśnie parkowania (doskonale ją rozumiem, sama przechodzę katusze przy tym manewrze). Biję od niej wielką życzliwość, taka bezinteresowna na dzień dobry. Widać, że lubi ludzi i szybko nawiązuje z nimi kontakt.



„Świat
tego
potrzebuje”

Rozmowa z Agnieszką Machowską. To trenerka biznesu w międzynarodowej firmie. Swoje umiejętności zawodowe, jako wolontariuszka, przekazuje krakowskim organizacjom pozarządowym. Wzmacnia wolontariuszy, bo jak podkreśla, jeśli uwierzy się w kogoś, to ten ktoś rozwinie skrzydła. I pomyśleć, że gdyby nie pewien zakonnik i pewna pielgrzymka, mogłaby zostać agentem nieruchomości.

Mam takie przekonanie, że świat tego potrzebuje i akurat w tym momencie mojego życia to są właśnie ci odbiorcy

Bernadeta Szczypta: Kiedy patrzę na ciebie, to zastanawiam się, czy jako mała dziewczynka też byłaś taka otwarta.

Agnieszka Machowska: Nie, w szkole byłam bardzo nieśmiała i wszelkie aktywności publiczne napawały mnie strachem. Początki mojej działalności to dopiero studia i Dominikańskie Duszpasterstwo Akademickie Beczka w Krakowie. Pojawiłam się tam, żeby skorzystać, zobaczyć... Do tej pory nie rozumiem, dlaczego duszpasterz ojciec Maciej Roszkowski zaproponował mi zorganizowanie pielgrzymki studentów do Częstochowy. Dał mi czas na zastanowienie się. To było bardzo duże przedsięwzięcie i ogromne wyzwanie dla mnie. Nigdy wcześniej niczego takiego nie organizowałam, nie znałam tych ludzi.

BS: Jak to, przyszłaś i tak po prostu otrzymałaś propozycję?

AM: Tak, zaledwie po kilku miesiącach. Ojciec Maciej chyba stwierdził, że będę się nadawała, ja tego nie widziałam u siebie. Więc do dzisiaj traktuję to jako niezrozumiałe wydarzenie w moim życiu (śmiejch).

BS: Jak się w tym odnalazłaś?

AM: Dostałam dużo wsparcia od ludzi, którzy już tam działali. To nie było przedsięwzięcie organizowane po raz pierwszy. Były już pewne systemy funkcjonowania, które można było odtworzyć, aczkolwiek dla mnie to było coś nowego. Więc bardzo dużo stresu, ale też radości, ciekawości, odwiedzania miejsc, do których wcześniej nie miałam dostępu, ludzi z którymi wcześniej się nie komunikowałam. Zobaczyłam jak takie duże przedsięwzięcie organizuje się

Myślę, że jestem doskonałym przykładem na to, co dzieje się z człowiekiem, gdy ktoś w niego uwierzy.



od podstaw. Nie miałam świadomości, że jest jakiś standard i raczej się w tym standardzie funkcjonuje. Więc ja z takim świeżym spojrzeniem pomyślałam, że jak się coś takiego organizuje, to powinien być plakat i zaprojektowałam plakat, czego wcześniej nie było. I ten plakat używany był później już nie tylko do tej części studenckiej ale dla całego przedsięwzięcia. Jakieś ogłoszenia oczywiście wcześniej były, ale ja to robiłam bardziej profesjonalnie, bo nie wyobrażałam sobie, że tego może nie być. To mi pokazało, że można wykraczać poza pewne normy, standardy, że właściwie wszystko co człowiek sobie wyobrazi, to może zrobić. Pod warunkiem oczywiście, że jest w odpowiednim środowisku ze wsparciem innych ludzi.

BS: Pielgrzymka oczywiście się udała...

AM: Tak, udała się, doszliśmy szczęśliwie i wróciliśmy (śmiech). W Beczce robiliśmy wiele szalonych rzeczy, także kulturalnych. Zorganizowaliśmy festiwal filmowy, który, z tego co wiem, teraz jest bardziej profesjonalnym.

BS: Ta pielgrzymka uświadomiła ci, że potrafisz?

AM: Tak, uświadomiła mi, że mam takie umiejętności, o które bym sobie nie podejrzewała. Myślę, że jestem doskonałym przykładem na to, co dzieje się z człowiekiem, gdy ktoś w niego uwierzy. I ojciec Maciej, na tym etapie mojego życia, uwierzył we mnie. Gdy go ostatnio spotkałam, to nawet powiedziałam mu, że nie mogę do końca zrozumieć, dlaczego mnie wybrał. A on powiedział, że wiedział co robi. Tak twierdzi. I ten wątek wiary w ludzki potencjał bardzo świadomie się teraz u mnie pojawia. Działania, które teraz podejmuję, na polu zawodowym, ale też w działalności wolontaryjnej, dotyczą tego obszaru wiary w ludzkie możliwości i ich odkrywania. Ludzie mają większe

możliwości, niż sobie uświadamiają i niż z nich korzystają. Mają większą wiedzę niż sądzą, a nie mają pojęcia, że mogą z niej korzystać. I to uświadamianie innym potencjału pojawia się teraz w różnych moich działaniach.

BS: To przejdźmy do tych działań, ale najpierw powiedz, co było po Beczce.

AM: Skończyłam studia, a studiowałam zarządzanie nieruchomościami, co nijak się ma do tego co robię teraz. Jestem trenerem umiejętności interpersonalnych, biznesu, rozwoju osobistego, pracuję jako trener wewnętrzny w firmie. I tym obszarem rozwoju osobistego, czyli tym co robię na co dzień w pracy, dzielę się z organizacjami pozarządowymi w formie wolontariatu.



BS: Dlaczego postanowiłaś wspierać organizacje pozarządowe? Zobaczyłaś że trzeba je wzmocnić, bo są za mało profesjonalne?

AM: Z jednej strony to była potrzeba dzielenia się tym co umiem, nie chciałam tego trzymać dla siebie. Z drugiej strony to była chęć wsparcia organizacji w sposób bardziej zorganizowany, systemowy. Widzę, że to przynosi efekty, choć trudno jest zbadać jak wzrost pewnych umiejętności może przyczynić się do jakości funkcjonowania, ale ja mam przekonanie że tak jest, i chciałabym, żeby organizacje pozarządowe z tego korzystały.

BS: Czego najbardziej potrzebują organizacje pozarządowe, jakiego wsparcia?

AM: Współpracując z kilkoma z nich, za-

Ludzie mają większe możliwości, niż sobie uświadamiają i niż z nich korzystają. Mają większą wiedzę niż sądzą, a nie mają pojęcia, że mogą z niej korzystać

uważyłam, że to kwestia utrzymania motywacji wolontariuszy do działań, w zależności od tego z jakim środowiskiem się stykają. Czasami jest to też dbanie o ich potrzeby, o taką empatię dla samego siebie, bo gdy tego nie ma, to jest prosta droga do rezygnowania z działania w organizacji. Bo kiedy wolontariusz ma silną potrzebę dawania czegoś innym, a nie jest to brane albo wykorzystywane nie w taki w sposób jak by chciał, to po jakimś czasie prowadzi to do spadku motywacji i wypalenia.



musiałabym działać interwencyjnie w jakiejś organizacji. Mam szczęście, że teraz działam dla takiej organizacji, która bardzo systemowo podchodzi do tego co robi. I bardzo mnie to cieszy bo widzę efekty, bo to nie jest takie

działanie rozwojowe dla wolontariuszy, że coś się wydarzy i nic się z tym nie dzieje. I jakoś tego może być bardzo dobra, ale efekty długofalowe mogą być niewielkie, bo nie jest to wdrażane czy utrzymywane. Więc cieszy mnie, że współpracuję z taką organizacją, która w dużym stopniu działa systemowo, organizuje przez cały rok szkolenia dla wolontariuszy, żeby utrzymać ich motywację, rozwijać ich kompetencje, dostarczać bardziej skomplikowanych szkoleń dopiero po jakimś czasie, kiedy wolontariusze mają już pewnego rodzaju doświadczenie, i mogą się tym dzielić. I lubię taką współpracę, bo widzę efekty, wiem że to nie pójdzie na marne, że to będzie jakoś fajnie wykorzystane.

BS: I do wycofania się z działalności?

AM: Tak. Wydaje mi się, że jest dużo organizacji, które funkcjonują na takim stałym przepływie wolontariuszy, co też jest dobre, bo więcej osób może doświadczyć działania na rzecz innych. Ale z drugiej strony jakoś tej działalności byłaby większa, gdyby pewna część wolontariuszy działała na przykład przez dwa lata. Wtedy można byłoby mówić o transferze doświadczeń czy wiedzy, a te organizacje nie startowałyby od początku. Więc utrzymywanie motywacji to raz. A dwa, to dbanie o taki dobrostan wolontariusza, o komfort, o empatię dla siebie samego w sytuacji, gdy pomoc jest odrzucana. Chodzi o to, żeby nie zostać ze zgorzknieniem. Oczywiście w organizacjach jest mnóstwo innych problemów, które występują wszędzie tam, gdzie ludzie działają, czyli wszelkie kwestie dotyczące komunikacji, rozwiązywania konfliktów, działania w grupie.

BS: Zdarzają ci się sytuacje kryzysowe, trudne w organizacjach, które musisz rozwiązać?

AM: Nie byłam jeszcze w sytuacji, kiedy

BS: A jakimi ludźmi są wolontariusze? Przepuszczam, że mają wspólne cechy.

AM: W tym momencie współpracuję z organizacją, która działa głównie ze studentami, to są różni studenci różnych kierunków studiów. Mają taką potrzebę, żeby działać na rzecz innych, żeby dzielić się tym co wiedzą, pewnie część z nich wykorzysta to kiedyś jako doświadczenie zawodowe, myślę o ludziach, którzy studiuje kierunki pedagogiczne. Ale jest też grupa ludzi, którzy na pewno nie pójdą w tę stronę, po prostu mają taką potrzebę, żeby robić coś dla innych i robią to właśnie poprzez współpracę z tą organizacją.

BS: Co ci daje kontakt z tymi ludźmi, wolontariuszami, organizacjami?

Ludzie mają większe możliwości, niż sobie uświadamiają i niż z nich korzystają. Mają większą wiedzę niż sądzą

AM: Dla mnie jest to doświadczenie robienia czegoś, co ma sens. Mam takie przekonanie, że świat tego potrzebuje i akurat w tym momencie mojego życia to są właśnie ci odbiorcy. Jestem w tym konkretnym środowisku, w tym momencie. Mam dostęp do tego typu organizacji, mój tryb pracy nie pozwala mi robić innych rzeczy, mogę z nimi współpracować w ramach wolontariatu, wieczorami czy w weekendy. Nie wykluczam tego, że kiedyś będzie to inna forma współpracy, inne działanie, bardziej systemowe, jestem na to otwarta.



Nie zapominam, że żyję tutaj i odpowiadam za to miejsce

BS: Tak właśnie działa odpowiedzialny obywatel?

AM: To jest działanie tam, gdzie jestem, to jest świadome rozglądanie się wokół. Chodzi o zauważenie jakie są potrzeby tego miejsca, w którym jestem i działanie na rzecz potrzeb tych ludzi czy sytuacji.

BS: Świat ode mnie tego potrzebuje i ja mu to daję.



AM: Tak, ale na takiej zasadzie, że to jest lokalnie. Oczywiście, można wspierać budowę studni w Sudanie, nie mam nic przeciwko tego typu akcjom, mam świadomość, że średni standard w Polsce jest dużo wyższy niż gdzieś tam w Afryce i jak najbardziej wspieram tego typu inicjatywy. Ale nie zapominam, że żyję tutaj i odpowiadam za to miejsce, za tę przestrzeń. Chodzi o to, żeby działać na jej korzyść. To według mnie znaczny być odpowiedzialnym obywatelem.

Spokój, ciepło, optymizm, otwartość – to wszystko widzę w jej oczach. Nie zna mnie przecież, a ja czuję, że już na starcie, daje mi szansę. Jak się okaże, to jej postawa życiowa. Chciała być zakonnicą, później przedszkolanką... została urzędniczką i działaczką społeczną.



„Już mnie
nie pytają,
co z tego
mam”

Rozmowa z Aliną Marek – ekonomistką, trenerką, członkiem zarządu Stowarzyszenia na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości i Inicjatyw Lokalnych Stopil oraz Fundacji Inicjatyw Rozwojowych Fenomeno. Koordynatorka projektów partnerskich realizowanych z jednostkami administracji samorządowej i Wojewódzkim Urzędem Pracy w Krakowie. Pracownik Urzędu Miasta Nowego Sącza.

Jeśli ma się w sobie trochę tolerancji dla człowieka, pokory wobec życia i takiej wrodzonej życzliwości, to każdy człowiek staje się bliski i lubimy go awansem, już na starcie

Bernadeta Szczypta:
Sięgnijmy do źródła... Skąd znalazła się w pani chęć do działania obywatelskiego?

Alina Marek: Jak byłam mała, chciałam być zakonnicą, później przedszkolanką, dzisiaj jestem pracownikiem samorządowym, ale ta zakonnica i przedszkolanka chyba we mnie zostały (śmiech). Myślę, że to w człowieku jest albo tego nie ma.

BS: Ale co to jest?

AM: To jest optymizm, życzliwość dla ludzi, duża pokora i tolerancja, wyrozumiałość. To jest mieszanka wszystkich tych cech, bez tego trudno działać z ludźmi i dla ludzi.

BS: Czyli ludzi trzeba lubić?

AM: Tak, ludzi trzeba lubić. A jeśli ma się w sobie trochę tolerancji dla człowieka, pokory wobec życia i takiej wrodzonej życzliwości, to każdy człowiek staje się bliski i lubimy go awansem, już na starcie. A jeśli lubimy człowieka, to wraca to jakimiś pozytywnymi działaniami.

BS: Gdy sięga pani pamięcią wstecz, to kiedy były takie pierwsze działania, które można nazwać obywatelskimi, na rzecz innych? To był samorząd szkolny?

AM: To faktycznie był samorząd i w szkole podstawowej, i w liceum. Później pojawiły się dzieci i pojawiła się aktywność nawet bez funkcji. Moja córka grała w piłkę ręczną. Angażowałam się więc w przygotowywanie drobnych upomin-

ków podczas turniejów, uroczyste powitania, przygotowanie kalendarza. Do tego moja praca zawodowa w administracji, najpierw w Warszawie, później w Gorlicach i w końcu w Nowym Sączu. A taka moja sformalizowana aktywność w trzecim sektorze to 2002 rok. Z grupą znajomych założyliśmy wtedy Stowarzyszenia na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości i Inicjatyw Lokalnych Stopil. Siłą napędową był kolega Andrzej Muzyk. Od początku jestem członkiem zarządu tego stowarzyszenia.

BS: Dlaczego właśnie taka działalność?

AM: To było związane ze zmianą przepisów. Pojawiła się możliwość organizowania warsztatów dla osób zagrożonych wykluczeniem społecznym. To była inicjatywa przemyślana przez Andrzeja. Mnie ta tematyka była bliska... a może po prostu każde działanie społeczne, które pojawia się w okolicy, natychmiast jest dla mnie przestrzenią, w której chciałabym się zrealizować? I działam, łącznie ze współtworzeniem projektów, koordynacją niektórych z nich, uczestniczę w przygotowywaniu sprawozdań, bo jesteśmy organizacją pożytku publicznego. To jest ta strona formalna. Ale bardzo ważne jest dla mnie także budowanie relacji międzyludzkich, zarówno w zespole samego stowarzyszenia, jak i tworzenie dobrego wizerunku naszej organizacji, informowanie o tym, że działamy. To także współpraca z innymi stowarzyszeniami z Nowego Sącza. Trzy lata temu któreś ze stowarzyszeń wymyśliło fajną rzecz Spichlerz Dobroci. Zebraliśmy się w 7 stowarzyszeń, spotykaliśmy się w kawiarenkach. Chodziło o informowanie, że każdy z nas ma w zanadrzu 1% i warto go przekazać na rzecz organizacji pożytku publicznego.

Pojawiły się billboardy na rynku pod hasłem „Podaj Dalej”, czyli podaj dalej informację, że masz 1% i zrób coś z tymi pieniędzmi. To budowanie relacji z innymi organizacjami także



jest dla mnie bardzo ważne. Jednym słowem, jak pojawia się jakieś działanie, to natychmiast znajduję sobie w nim miejsce.

BS: Rozumiem, że udaje się pani godzić wszystkie swoje zadania życiowe...

AM: Tak, co więcej, zauważam u córki identyczną żyłkę. Jestem świeżo po koncercie kół w szkole mojej córki, gimnazjum nr 11. Jak tylko rozpoczęły się próby, moja córka poinformowała panią, że najlepiej by było, gdyby jej klasa wystąpiła w strojach ludowych. Na co pani: „Tu jest 31 osób, skąd te stroje?”, a ona: „Zadzwońię do mamy”. Stroje oczywiście zostały wypożyczone, dzieci wystąpiły, ogromny sukces. I jak patrzę na to, co ona robi i jakie ma pomysły, to myślę, że albo się z tym urodziła, albo z obserwacji pojawiła się u niej taka bardzo aktywna postawa.

BS: I co pani teraz myśli: „Dziecko, po co ci to?”, czy też jest pani z niej dumna?

AM: Jestem dumna. Jak tylko mi powiedziała o tych strojach, to ją zapytałam, kto to wymyślił. Córka odparła, że ona, bo pomyślała, że to będzie pięknie wyglądało. Jestem bardzo z niej dumna. Zresztą jak tylko pojawił się pomysł, to co drugi dzień chwaliłam i po koncercie również. Mnie się taka postawa podoba, bardzo, bardzo.

BS: Bo...?

AM: Bo to jest taka postawa, która przynosi dużo korzyści i dobra osobie, która tak się zachowuje w życiu. Bo nie jest skupiona na sobie. Bo nie poświęca zbyt dużo czasu swoim, często wydumany i nieuzasadnionym, potrzebom. To jest ważne dla rozwoju tej osoby, po prostu widzi świat szerzej, nie tylko przez

pryzmat własnych potrzeb. A to jest tak, że im więcej człowiek daje, tym więcej do niego wraca i w zakresie relacji, i w zakresie doświadczenia zawodowego, i współpracy z ludźmi. I to jest ważne.

BS: Ale przecież na pewno spotyka pani ludzi, którzy nie są życzliwi, którzy być może nawet i podcinają skrzydła. Czy takie spotkania załamują, czy to kwestia pogodzenia się z tym, że ludzie są po prostu różni?

AM: Tak, to jest chyba moja postawa, że ludzie są różni i trzeba się z tym pogodzić. A jeśli pojawi się niechęć czy zdziwienie, to ja to odbieram tak, że ten człowiek potrzebuje czasu. Nie drażę tematu, nie wymyślam kolejnych argumentów, tylko jestem pokorna i myślę sobie, że przyjdzie czas na taką działalność, tylko że później.



Jak pojawia się jakieś działanie, to natychmiast znajduję sobie w nim miejsce

BS: A może wcale? Może nie wszyscy muszą wykazywać postawy obywatelskie?

AM: Myślę, że na każdego przychodzi taki czas. Czasem jest to szkoła podstawowa i potrzeba ubrania całej klasy w stroje ludowe, a czasami jest to emerytura, dojrzały wiek, kiedy pojawia się potrzeba, żeby zrobić coś wspólnie.

BS: Naprawdę zawsze jest taka potrzeba?

AM: Moim zdaniem zawsze. Takie są moje obserwacje. Od dzieci bardzo małych do osób bardzo dojrzałych. Myślę tu o moich rodzicach, którzy w wieku dojrzałym zaczęli działać w zarządzie osiedla, angażują się w organizowanie spotkań dla swojego najbliższego środowiska, a to dzień dla zdrowia, a to dzień seniora.

BS: Z tego co pani mówi, wynika, że każdy z nas ma w sobie postawy obywatelskie. To wobec tego, dlaczego nie działamy wszyscy wspólnie, jakie są te bariery?

AM: Różne są etapy w życiu, różne są losy ludzkie. Czasem trzeba uporządkować sprawy rodzinne. To też zależy od zasobów, takich zwykłych, materialnych. Jeżeli jest ktoś, dla kogo ważne jest, aby mieć dom, bo to powoduje, że będzie czuł się bezpiecznie i angażuje wszystkie siły i środki, aby ten dom wyposażyć, to dla niego nie jest to czas na aktywność społeczną. Ale kiedy ta potrzeba podstawowa zostaje zaspokojona, dom zostaje wybudowany, to przychodzi czas dla tej osoby – nieco później – aby zaangażować się w jakieś działania na rzecz innych, nie tylko dla siebie.

Im więcej człowiek daje, tym więcej do niego wraca i w zakresie relacji, i w zakresie doświadczenia zawodowego, i współpracy z ludźmi

BS: Ale są i osoby, które mają nieukończoną kuchnię czy łazienkę, ale nie przejmują się tym, tylko działają.

AM: Tak, to zależy też od charakteru, od okoliczności życiowych, od naszego wychowania. Bo na przykład jest ktoś wychowany w rygorze, że najpierw dom, rodzina, a później własne przyjemności. I jeśli tą przyjemnością jest tworzenie relacji i działanie na rzecz innych, to ten rygor wychowania powoduje, że te potrzeby realizowane są na końcu.

BS: Pracuje pani w samorządzie i działa w trzecim sektorze. Ktoś, kto patrzy na to z boku, może pomyśleć, że tego nie da się połączyć, że to są dwa różne światy, czy tak rzeczywiście jest?

AM: Myślę, że nie ma między nimi przepaści, ponieważ zarówno administracja samorządowa czy rządowa, jak i organizacje pozarządowe to działalność ludzi. Im większa jest wiedza jednej strony o obowiązkach tej drugiej, tym lepiej. Gdyby organizacje pozarządowe zechciały poznać cały system prawny, który jest niezwykle skomplikowany, a z drugiej strony, gdyby osoby pracujące w administracji zrozumiały, jak wiele dobra wynika z działań osób zaangażowanych w aktywność społeczną, to życie byłoby idealne. I mam nadzieję, że zarówno jedna, jak i druga strona do tego dąży, do postrzegania siebie jak partnerów. Jak cudnie byłoby współpracować, zrozumieć siebie, swoje cele, swój język. Dzięki temu środowisko lokalne, osiedle, gmina, miałyby jeszcze więcej korzyści. Moim zdaniem to nie są światy rozbieżne. To są światy w innych miejscach, z innymi obowiązkami, natomiast jest duża część wspólna, którą trzeba znaleźć i to zależy od ludzi, po jednej i po drugiej stronie.

BS: Nie ma wyjścia, trzeba znaleźć tę część wspólną?

AM: Znalezienie tej części wspólnej jest ważne zarówno dla administracji, jak i organizacji pozarządowych. To jest kluczowe, fundamentalne, żeby zrozumieć, że ten obszar współpracy istnieje i że znalezienie go przyczyni się w sposób niewypowiedziany do rozwoju miasta, społeczności dzieci, młodzieży, różnych grup społecznych.

BS: Często słyszy pani pytanie, co ma pani z tej działalności społecznej? Czy już przestali pytać?

AM: Chyba przestali pytać (długi śmiech). Tak, rzadko się spotykam z takimi pytaniami. Po prostu mówię, że jest następne spotkanie albo może ktoś byłby zainteresowany takimi i takimi działaniami... A może ja nie słyszę tych pytań? Chyba jednak faktycznie ludzie przestali mi je zadawać. Działam i już, to jest oczywiste.

BS: Wybiegnijmy w przyszłość, w którym miejscu działalności społecznej będzie pani za 10 lat?

AM: Będę dobrym duchem różnych działań. Będę powodowała, że relacje różnych grup, zaangażowanych w przeróżne działania, będą dobre. Będę budowała życzliwą atmosferę w tych zespołach. Jednym słowem, będę sobą jeśli chodzi o działalność społeczną.

BS: A pani córka za 10 lat?

AM: (śmiech) Założy stowarzyszenie, (chwila zawahania...) Ponieważ teraz ma 13 lat, to myślę, że zrobi to nawet wcześniej.



To jest chyba moja postawa, że ludzie są różni i trzeba się z tym pogodzić





Ich wspólne życie opiera się na altruizmie społecznym. Każdy osobnik bardziej służy innym niż sobie, pracuje dla całej grupy. Czy możliwy jest taki układ? Nie tylko jest możliwy, ale istnieje... w świecie pszczoł. Oto ktoś kto kocha pszczoły, ale także bardzo lubi ludzi.



„Polacy
podążają
za
nektarem”

Rozmowa z Jaroslavem Maruščíkiem – prezesem Stowarzyszenia Novy Domov ze Słowacji – partnerem projektu Cafe Obywatelska, który od wielu lat realizuje projekty m.in. związane z wprowadzeniem nauki rzemiosła wśród mniejszości romskich. Z wykształcenia doktor pedagogiki, praktyk nauczyciel, animator społeczności lokalnej.

Bernadeta Szczypta: Jak zaczęła się Pana współpraca z organizacjami pozarządowymi z Polski?

JM: Ta współpraca trwa już 25 lat. Kiedy pracowałem w Powiatowym Urzędzie Pracy

w Stropkovie to razem ze Starą Lubownią i Świdnikiem uczestniczyliśmy w projekcie w ramach współpracy transgranicznej z powiatem nowosądeckim. Wtedy poznałem panią Danutę Binek prowadzącą grupę, której byłem uczestnikiem. Po tamtym projekcie otrzymałem propozycje współpracy od pani Aliny Marek z Nowego Sącza, która dowiedziała się, że prowadzę stowarzyszenie i powiedziała, że jest zainteresowana wspólnymi działaniami. W tym czasie razem ze stowarzyszeniem Gniazdo ze Starego Sącza realizowaliśmy projekt Boccia przeznaczony dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną. Tam z kolei poznałem pana Grzegorza Niesporaka, pracownika starostwa powiatowego w Nowym Sączu, który zajmował się projektami współpracy transgranicznej.

Młodzi ludzie są ciekawi, zainteresowani tym, co robią inni oraz propozycjami rozwiązań problemów społecznych

Wspólnie przygotowaliśmy projekt pod nazwą „Zapobieganie patologicznym zachowaniom nieletnich na Słowacji w powiecie Stropkov i w powiecie nowosądeckim w Polsce” który miało realizować moje stowarzy-

szenie Nowy Dom i stowarzyszenie z powiatu nowosądeckiego. Niestety część polska tego projektu w powiecie nowosądeckim nie została zrealizowana. Jednak efekt współpracy został osiągnięty, ponieważ nasze dzieci były w ramach tego projektu w Łabowej, natomiast my realizowaliśmy ten projekt w pozostałej części. Tak więc moja współpraca z polskimi organizacjami zaczęła się od poznania Pani Binek, która przekazała innym informacje o naszym stowarzyszeniu Nowy Dom. Współpracowałem z różnymi polskimi partnerami, m.in. w Biłgoraju, Krośnie, Rzeszowie, Nowym Sączu, Tarnowie i Krakowie. Ta współpraca była bardzo dobra zarówno dla partnerów z Polski, jak i Słowacji.

BS: Potrzebna jest taka polsko-słowacka współpraca? Co z niej wynika?

JM: Myślę, że taka współpraca jest bardzo ważna dlatego, że my Słowianie mamy podobną naturę, język, programy społeczne. W ramach tego współdziałania przenikają się doświadczenia, idee. Efekty tej współpracy są bezcenne, będą one widoczne za wiele lat. Jednak więzi tworzą się już teraz.

BS: A jak na Słowacji rozwija się społeczeństwo obywatelskie? Czy ludzie chcą się angażować, czy chcą działać społecznie?

JM: W swojej pracy spotykałem się z różnymi organizacjami pozarządowymi i samorządami, dyrektorami szkół i przedsiębiorcami, którzy

Cafe Obywatelska

CAFÉ
obywatelska

WSTĄD DO
obywatelska



szukają współpracy przynoszącej korzyść obu stronom. To charakterystyczne dla państw należących do Unii Europejskiej, to nas jednoczy, zbliża. Oczywiście, że mamy problemy społeczne, teraz szukamy wsparcia w Komisji Europejskiej, Unii Europejskiej, poprzez samorządy podobne do waszych wojewódzkich w ramach budżetu wspólnoty na lata 2014-2020.



JM: Robię to dlatego, że póki człowiek coś umie i może przekazać to innym pokoleniom to jest to jego obowiązkiem. Moim życiowym credo jest powiedzenie naszego znakomitego poety Pawła Orshaga Hwiedzoslava: „Nie ten kto w rozkoszy życia pływając się żył, ale ten kto tworzył i stworzył, może powiedzieć że żył”.

BS: A jak pan ocenia to, co dzieje się w ramach projektu Cafe Obywatelska? Jak postrzega pan uczestniczących w nim młodych ludzi?

JM: Obyłem wiele spotkań w Polsce, ostatnio w Tarnowie, Krakowie, Rzeszowie, Nowym Sączu. Podczas różnych warsztatów i osobistych spotkań obserwuję, jak młodzi ludzie są ciekawi, zainteresowani tym, co robią inni oraz propozycjami rozwiązań problemów społecznych. Informacje z tych spotkań przekazuję poprzez moje stowarzyszenie, instytucjom samorządowym i organizacjom państwowym, w których kiedyś pracowałem, wykorzystuję dawne kontakty.

BS: Pana zdaniem jest to potrzebny projekt?

JM: To jest bardzo racjonalny projekt, dlatego że kawa, herbata, woda mineralna zbliża ludzi, pojawiają się idee, impuls do spotkań. I podczas tych spotkań młodzi ludzie mogą wymieniać się pomysłami, z którymi najpierw stykają się w szkole, ale później mogą wykorzystywać je na rynku pracy, w swojej rodzinie, społeczności, w swoim powiecie, państwie.

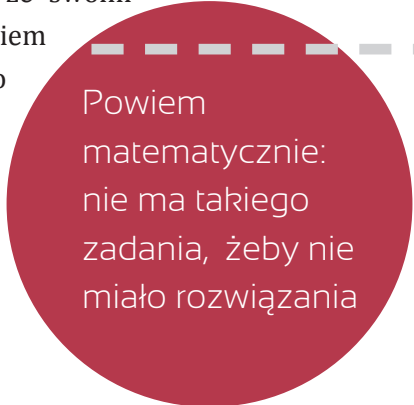
BS: A co sprawia, że pan chce działać, dzielić się swoimi doświadczeniami?

BS: To piękne słowa. Ale pewnie są problemy w tej działalności, na pewno napotyka Pan na nie na Słowacji.

JM: Problemy są po to, by je rozwiązywać. Powiem matematycznie: nie ma takiego zadania, żeby nie miało rozwiązania. Oczywiście w dzisiejszych czasach wielu ludzi zazdrości innym wszystkiego. To są czasy gdzie wielu biega tylko za dobrami materialnymi, za bogactwem. Wielu dostrzega tylko to co ma: samochód, mieszkanie a nie dostrzega tego, że żyje, że może iść na łono natury, że może spotkać się z kimś, iść na narty, snowboard, zajmować się pszczołami tak jak w moim przypadku.

BS: A czego można nauczyć się od pszczół?

JM: Można nauczyć się bardzo dużo. Jeżdżę do Polski już od 30 lat i widzę, jak Polska się zmienia. Inne drogi, domy, mieszkania, to wszystko jest ładniejsze. Obserwuję, że Polacy jak moje pszczoły podążają za nektarem i wracają do własnej rodziny. Obserwuję, że teraz wielu młodych ludzi jedzie za granicę, ale wierzę że oni wrócą do Polski ze swoim kapitałem, doświadczeniem i wykorzystają to jako przedsiębiorcy albo wolontariusze w różnych stowarzyszeniach.



Powiem matematycznie: nie ma takiego zadania, żeby nie miało rozwiązania



Uważny, skupiony, precyzyjnie dobiera słowa. Nie mówi „ja”, tylko „my”. Wolontariusz z krwi i kości. Szczęściarz, który robi to, co rocha.



„Kiedy
pasja
i praca
to jedno”

Rozmowa z Marcinem Kałużnym – prezesem zarządu Stowarzyszenia Sursum Corda. Stowarzyszenie powstało w 2000 roku. Jest to pozarządowa, apolityczna organizacja non profit, zajmująca się szeroko rozumianą pomocą społeczną, profilaktyką i edukacją. Stowarzyszenie prowadzi m.in. Centrum Wolontariatu i sieć Szkolnych Klubów Wolontariatu.

W każdym z nas, gdzieś, coś takiego drzemie. Chcemy być przydatni, aktywni, potrzebni

Bernadeta Szczypta: Skąd w Pana życiu wziął się wolontariat?

Marcin Kałużny: Sursum Corda powstało z wolontariatu i na bazie ludzi związanych z wolontariatem.

Najpierw była grupa przyjaciół, których połączyły różne aktywności: samorządy szkolne, wspólne szkoły średnie, wreszcie duszpasterstwo przy Kościółku Kolejowym Jezuitów w Nowym Sączu. W zasadniczej części trzon Sursum Corda stworzyli ludzie, którzy zaczęli w 1994 roku jeździć do ośrodka wychowawczego w Mszanie Dolnej, jako taka nieformalna grupa wsparcia, wtedy nie mówiliśmy o wolontariacie. Po 6 latach takiej działalności, kiedy byliśmy u kresu studiów, stwierdziliśmy że chcemy coś dalej robić wspólnie, być użytecznymi. Zawsze chcieliśmy być blisko wydarzeń, często je generowaliśmy. To była naturalna potrzeba i chęć kontynuacji w formalnej strukturze dającej większe możliwości działania.

BS: Czy tę potrzebę zawsze pan czuł, czy może była jakaś sytuacja, która zachęciła pana do działania, a może jakiś człowiek stanął na drodze?

MK: To jest splot różnych czynników. To przede wszystkim kapitał domowy, czyli rodzice którzy zawsze tę aktywność akceptowali i wspierali. Także mnóstwo mądrych nauczycieli. Świetna szkoła średnia, gdzie oprócz bardzo wysokiego poziomu nauki, bo to było jedno z najlepszych w Polsce technikum elektryczne w Nowym Sączu, była też nauka życia i przyjazne przyzwolenie na działalność prospołeczną. Co ważne, była też możliwość aktywności w różnych dziedzinach. Później aktywni rówieśnicy w czasie studiów, różne szalone pomysły czy inspirujące „nocne studentów roz-

mowy”. Więc taki splot mądrych, aktywnych ludzi, którzy doceniali, mobilizowali, wspierali te różne formy młodzieńczego zapału.

BS: Ale chyba muszą być jakieś cechy, które powodują, że człowiek chce działać.

MK: W każdym z nas, gdzieś, coś takiego drzemie. Chcemy być przydatni, aktywni, potrzebni. Zewnętrzne okoliczności pomagają, bądź nie, to rozwinąć. I taki kapitał, wydaje mi się podstawowy. Później doszły do tego osobiste przekonania i różne sukcesy. To wszystko spowodowało, że dzisiaj ta działalność obywatelska to już nie tylko pasja, lecz także praca.

BS: Przyjaciół było...

MK: Kilkanaście osób, 15-18.

BS: ...które postanawiają zawiązać Stowarzyszenie?

MK: Tak, Stowarzyszenie powstało w sumie w grupie dwudziestu kilku osób, natomiast trzon zasadniczy stanowiło jakieś 15-17 osób. To bardzo różne osobowości, wykształcenie, co też było cenne, bo każdy wnosił coś ciekawego. Ale wszyscy bardzo otwarci na świat, na nowe doświadczenia, czerpiący z tego mnóstwo radości, satysfakcji, mający taką naturalną swobodę odnajdywania się w zmieniającej się rzeczywistości. Bardzo szybko adaptujemy się do nowych warunków i to jest duża wartość tej grupy. I do dzisiaj łączy nas nie tylko wspólne działanie, lecz także przyjaźnie. Tak więc są to relacje przyjacielskie, ale też oparte na wspólnym działaniu w jakimś określonym celu. Jest dobry, ludzki klimat.

BS: Od razu wiedzieliście, co chcecie robić? A może nowe cele pojawiały się z upływem lat?

MK: Mnóstwo radości dawało nam działanie, obserwowanie efektów różnych form aktywności. I ze względu też na dominujące w grupie wykształcenie pedagogiczno-resocjalizacyjno-psychologiczne, były to obszary związane z pracą na rzecz dzieci, na rzecz osób wykluczonych społecznie, głównie młodzieży. I w różnych obszarach te aktywności się toczą do dziś. Wiele frajdy daje nam wolontariat. Kiedyś sami byliśmy wolontariuszami, później współtworzyliśmy wolontariat, teraz zarządzamy armią wolontariuszy, będąc i dzisiaj niejednokrotnie wolontariuszami przy różnych okazjach.

BS: Jak duża jest to armia wolontariuszy?

MK: Co roku jest to ponad pół tysiąca osób. W 2002 roku powołaliśmy w Nowym Sączu Sądeckie Centrum Wolontariatu, z którym współpracuje około 120-150 osób rocznie. A od 2006 roku w regionie prowadzimy sieć klubów wolontariatu. W tej chwili mamy 14 takich klubów, w 3 powiatach. To jest od 500 do 700 osób rocznie. Działa tam młodzież, która jest organizowana przez koordynatorów, oni z kolei bezpośrednio są w kontakcie z nami. Staramy się inicjować różne wspólne przedsięwzięcia, jest też miejsce, by dzielić się swoją wiedzą, doświadczeniem. W małych miejscowościach, gdzie powstały kluby, jest wiele potrzeb, wolontariusze starają się na nie odpowiadać.

BS: Czym przyciągacie do siebie tych młodych ludzi?

MK: Czasami słyszymy od nich, że u nas jest naturalnie, swobodnie. I wydaje mi się, że oni czują to, że nie są przed-

miotem, ale podmiotem współpracy. To jest dla nas bardzo ważne. Bo wiemy jak my się czuliśmy w takich sytuacjach. Mają też okazję aby realizować swoje potrzeby, bo to nie tylko praca wolontariacka, lecz także wspólne wyjazdy, spotkania, poznawanie się, nawiązywanie przyjaźni i relacji. Większość wolontariuszy to młodzież i jest to taki wiek, że te potrzeby są bardzo istotne. I my to uwzględniamy, planując działania. No i chyba też nasza wiarygodność. Bo to nie było tak, że przyszło nam do głowy: „Stwórzmy Centrum Wolontariatu, bo to jest modne”. My ten chleb jedliśmy z tego pieca, a teraz wspólnie z nimi pieczemy w tym piecu i to jest chyba klucz.

BS: Z jakich działań wolontariuszy jest pan najbardziej dumny? Czym mógłby się pan pochwalić?

MK: Jest tego mnóstwo, natomiast przede wszystkim jestem dumny z tego, że młodym ludziom chce się chcieć. Na przykład w poniedziałek zaczynamy ferie zimowe dla dzieci. Półkolonie mamy w dwóch szkołach. Zajęcia są od 7 rano. I zawsze jest problem, bo jest więcej wolontariuszy, niż mamy dla nich pracy. Potrafią stać przed drzwiami szkoły już przed 7 i spędzają czas z dziećmi do 17. Dumny jestem z programu „Starszy Brat, Starsza Siostra”. To też takie nasze dziecko, nasza perełka. To jest niesamowity program, w którym wolontariusze stają się przyszywanym rodzeństwem dla dzieci, które z różnych względów potrzebują wsparcia. Wolontariusze chodzą do nich do domu, wspólnie pracują, bawią się, pomagają w nauce, ale też spędzają czas, rozwijając dziecięce pasje, zainteresowania. I na przykład kiedy słyszymy od wolontariuszy, że ich dziecko, na przykład Kasia, zdobyło czwórkę, a wcześniej były dwójki i trójki, to są to niesamowite sukcesy, z których jesteśmy dumni. Jesteśmy szczęśliwi, że cza-



sami po zakończeniu programu te relacje nadal trwają. Mamy wolontariuszy, którzy potrafili przez 6 lat być w tym programie, od szkoły średniej po koniec studiów. Dumny jestem z jednej wolontariuszki, która po latach kiedy się spotkaliśmy na placu zabaw, ona ze swoim dzieciątkiem, ja ze swoim, podziękowała za to, że mogła być wolontariuszką, bo teraz będąc mamą, jest mądrzejsza, wie jak podejść do wielu spraw związanych z wychowaniem. To też pokazuje, jak tamta aktywność przygotowała ją do kolejnego wyzwania życiowego. Dumni jesteśmy, gdy wspólnie z wolontariuszami uratujemy czyjeś życie. Mamy program „Na Ratunek”, jego realizacja nie byłaby możliwa w takiej skali, gdyby nie wolontariusze, którzy pomagają zbierać fundusze na leczenie i rehabilitację naszych podopiecznych. Rocznie pomagamy kilkudziesięciu osobom. To jest niesamowite, ile czasu potrafią poświęcić wolontariusze na przygotowanie koncertu i udział w nim, następnie na liczenie zebranych pieniędzy i dokonanie wpłaty na konto. I kiedy później przychodzi informacja z zagranicznej kliniki: „Tak operacja się udała, dziecko żyje”, to wtedy jest poczucie, że zrobiliśmy naprawdę wielką rzecz.

Jestem dumny z tego, że młodym ludziom chce się chcieć

BS: Stowarzyszenie działa z rozmachem, ale czy pan chciałby więcej, lepiej, szybciej? Czy są bariery, które powstrzymują ten rozwój? A jeśli są, to jakie?

MK: Wszystkie projekty, które realizujemy, wynikają z zaobserwowanych potrzeb. Gdy zgłosili się do nas rodzice kilkumiesięcznej Emilki



Myślę, że najfajniejszą, najsympatyczniejszą i najsensowniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła w życiu, to jest to, że pasja aktywności skonkretyzowała się w postaci Stowarzyszenia

z prośbą o pomoc w zebraniu pieniędzy na zagraniczną operację serca, to była to odpowiedź na tę potrzebę, wcześniej czegoś takiego nie robiliśmy. Tak w 2007 roku powstał program „Na Ratunek”. Do tej pory pomogliśmy kilkudziesięciu osobom, to prawie 3 miliony złotych zebranych na leczenie i rehabilitację. To też jest chyba jakiś fenomen, zawsze udaje nam się zebrać potrzebną kwotę, na początku wydaje się, że będzie bardzo ciężko, ale finał jest szczęśliwy. Zdajemy sobie sprawę, że potrzeb jest zawsze więcej niż możliwości. Barrierami są obiektywne sytuacje, takie jak: za mała powierzchnia biura, jakaś bariera mentalna ze strony podmiotu, który mógłby, a niekoniecznie chce wesprzeć jakieś przedsięwzięcie, czyli na przykład samorządu. Są różne inicjatywy, ale urzędnicy nie zawsze rozumieją, że warto to zrobić wspólnie. Czasami barierą są środki finansowe. Każda działalność kosztuje, charytatywna również. Czasami spotykamy się z niezrozumieniem, słyszymy, że skoro mamy armię wolontariuszy, to przecież możemy działać za darmo... I nikt nie przyjmuje do wiadomości, że trzeba zapłacić za prąd, telefon, paliwo, trzeba opłacić księgową, specjalistów. Niektórym podmiotom, osobom, wydaje się, że wolontariusze mogą zrobić wszystko, a to nie jest prawdą. Chcąc prowadzić stabilną działalność, trzeba mieć trzon merytoryczny zbudowany ze stałych i kompetentnych pracowników, natomiast wolontariusze wspierają organizację, stanowiąc wartość dodaną. Nie możemy i nie da się pracowników etatowych zastępować wolontariuszami, choćby ze względu na stałość wykonywania prac, ilość godzin oraz odpowiedzialność. Gdyby było inaczej, to zamiast urzędników powinni pracować wolontariusze, bo przecież formalnie mogą. Każdy jednak rozumie absurdalność takiej koncepcji. Jeśli jednak chodzi o organizacje pozarządowe – niekiedy zderzamy się z mentalnym problemem zrozumienia tego. Czasami barierą jest to, że jest nas za mało, brakuje sprzętu, partnerów biznesowych, publicznych, żeby połą-

czyć siły, bo wtedy można by było rozwiązać więcej problemów lokalnych. Tego wszyscy się uczymy. Czasami braknie dobrej woli, czasami zderzamy się z różnego rodzaju układami, to są takie ekonomiczne, polityczne powiązania, które powodują, że dobro wspólne nie jest tym nadrzędnym celem współdziałania, tylko wygrywają jakieś inne, partykularne interesy.

BS: Zaciska pan wtedy zęby?

MK: Staramy się w takich sytuacjach szukać alternatywnych rozwiązań, jeśli to się udaje, to cieszymy się, że daliśmy radę. A jeśli się nie udało, to modyfikujemy pomysł do tego poziomu, który okazuje się możliwy do przeforsowania. Niekiedy też asertywnie mówimy co o tym sądzimy, jak się w tej sytuacji czujemy i ...czekamy na zmianę. Na pewno potencjał i rozwój organizacji byłby możliwe, gdyby te kilka elementów, o których wspominałem, udało się przełamać. Zdaję sobie sprawę z tego, że to jest pewien proces, chociaż patrząc z perspektywy 14 lat zaangażowania w działalność społeczną, mogę powiedzieć, że niestety niektóre bariery albo są trudne do przełamania, albo wręcz się umacniają. Za granicą widzimy aktywność obywatelską mieszkańców, otwartość, takie zwykłe ludzkie zaufanie. Patrzymy na to z pewną nutką zazdrości i myślimy, szkoda, że u nas jeszcze tak nie jest.

BS: A co musiałoby się stać, żeby i u nas tak było, więcej zaufania?

MK: To jest proces i on następuje, ja to widzę. Pierwsze roczniki naszych wolontariuszy, to są już ludzie aktywni zawodowo, pokończyli studia, założyli rodziny, część z nich wraca. Najnowszym pomysłem jest powołanie fundacji przy Stowarzyszeniu, która skupi tych młodych i aktywnych. Oni przychodzą od czasu do



W każdym z nas, gdzieś, coś takiego drzemie. Chcemy być przydatni, aktywni, potrzebni

czasu na kawę, herbatę i mówią: „Fajnie byłoby działać, może coś jeszcze zrobilibyśmy, co nam zaproponowalibyście?”. Mówię: „To wy proponujcie”. I rodzi się powoli taka myśl, żeby powstało miejsce, przestrzeń dla nich, gdzie mogliby realizować się obywatelsko, ale też dzielić się tym, co udało im się osiągnąć. Na zachodzie to jest standard. Cieszy mnie, że niektórzy nasi wolontariusze już też tak myślą: „Jako tako mi się wiedzie, chcę coś w życiu więcej niż tylko pracować za pieniądze, chcę w jakimś stopniu pomóc innym. To swoista droga społecznej dojrzałości, solidarności, ale też osobistego szczęścia. Kto tego doświadczył, wie o czym mówię”.

BS: To, że tak myślą, to też wasz sukces, Stowarzyszenia.

MN: To nas niezwykle cieszy, myślę, że z czasem taka przemiana nastąpi powszechnie w naszej polskiej rzeczywistości.

BS: Chciałby pan, żeby to działało się szybciej?

MK: Pewnie, że by się chciało, ale trzeba mieć świadomość, że to są pewne procesy, które muszą zajść. Absolutnie nigdy nie zgodziłbym się z tym, że mamy coraz bardziej konsumpcyjną i komercyjną



młodziem. Jest mnóstwo dobrych, sensownych młodych ludzi, natomiast od nas dorosłych, naszej wspólnej odpowiedzialności zależy to czy stworzymy im przestrzeń do tego, żeby to dobro, które w każdym drzemie, ujrzało światło dzienne. I tak też widzimy misję Stowarzyszenia: stworzyć przestrzeń i warunki do tego, żeby ludzie mogli sobie skutecznie pomagać. Ważne jest dla nas, żeby nie stać się organizacją korporacyjną, żeby nie zatracić ducha, żeby drzwi były zawsze otwarte, żeby zawsze ktoś miał czas usiąść z wolontariuszami i wypić herbatę, posłuchać ich rozterek. Tak właśnie trzeba, bo jeżeli skupimy się tylko na pomaganiu ludziom, to możemy zgubić tych, którzy są potencjalnymi „pomagaczami”.

BS: Rozumiem, że gdyby raz jeszcze miał pan wybierać swoją drogę życiową, to byłaby to ta sama droga?

MK: Myślę, że najfajniejszą, najsympatyczniejszą i najsensowniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła w życiu, to jest to, że pasja aktywności skonkretyzowała się w postaci Stowarzyszenia, a dodatkowo że mogę robić to nie tylko z doskoku, bo tak przez wiele lat było, ale zawodowo. Pasja stała się pracą. Dla mnie czas zupełnie inaczej płynie, inaczej wygląda zmęczenie pracą, i nawet jeśli spędzimy jako załoga 12 albo 14 godzin w pracy, niekiedy bez weekendu, to nie wychodzi się bez satysfakcji i poczucie sensu tego wysiłku i to jest nie do przecenienia. Poza tym, często widzimy rezultaty naszej działalności i to też jest piękne, daje moc.

Rozpiera ją energia, a przecież jest już późno i „powinna” być zmęczona. A ona otoczona przez młodych ludzi (wygląda jak jedna z nich) śmieje się, planuje, pokrzykuje, robi sto rzeczy naraz. I co ciekawe w tym wszystkim jest logika i cel.



„Jest taki moment, kiedy idę powoli...”

Rozmowa z Moniką Kozdraś-Grzesik. To nauczycielka królowej nauk, wiceprezes Fundacji Generator Inspiracji, liderka miasta Rzeszów w projekcie Cafe Obywatelska, społecznik lub jak kto woli po warszawsku społk :-)) ale przede wszystkim żona i mama 5-letniej Oli. W wolnym czasie, którego generalnie nie posiada, lubi czytać kryminały Agaty Christie, chce nauczyć się od niej organizacji i perfekcji, jaką można zauważyć w jej powieściach, skonstruowanych jak szwajcarskie zegarki. Posiadaczka dużej energii życiowej, nastawiona na działanie i kierowanie. Osoba bardzo impulsywna, ale otwarta i łatwo nawiązująca kontakty z innymi. Choleryk z akcentami melancholika.

Bernadeta Szczypta: Od zawsze jesteś taką działaczką?

MK-G: Nie, moja działalność społeczna zaczęła się w 8 klasie szkoły podstawowej. Przez przypadek zostałam przewodniczącą samorządu szkolnego.

BS: Jak to przez przypadek?

MK-G: Nie byłam wcześniej przewodniczącą klasy, ale byłam skarbnikiem, bo ja jestem konkretna dziewczyna. A tu nagle okazało się, że wszyscy chcą mnie na przewodniczącą. To pomyślałam: „a dobra, wystartuję”. Dostałam prawie 100 procent głosów. I trzeba było działać. Przeprowadziliśmy sporo akcji charytatywnych i społecznych. To były inne czasy, była 8 klasa, byliśmy starsi, wiele rzeczy udało nam się zrobić. I to był początek mojej działalności społecznej, ale tak naprawdę z domu wyniosłam te przyzwyczajenia. Moi rodzice działali we wszystkich komitetach rodzicielskich, organizowali zabawy na rzecz szkoły. Mój tato, przez całe moje liceum w Rzeszowie, działał

w radzie rodziców, przemawiał na mojej studniówce. Rodzice zawsze powtarzali, że warto pomagać i chociaż różnie ta pomoc może być odbierana, to mimo wszystko trzeba. Ale co ciekawe, kiedy chodziłam do liceum, a później studiowałam, to ta moja działalność była w uśpieniu.

BS: I przez liceum, i podczas studiów?

MK-G: Tak. Po prostu nie spotkałam na swojej drodze prawdziwych działaczy. Teraz, kiedy patrzę na moich studentów działających przy Fundacji Generator Inspiracji, to myślę sobie, że przespałam studia. Gdy je skończyłam, od razu dostałam pracę w szkole. Okazało się, że młody pracownik musi robić wszystko, więc wydawałam gazetę szkolną, miałam drużynę harcerską... A na swoich pierwszych wymarzonych wakacjach oczywiście pojechałam na kolonie organizowane w gminie Futoma. I tam spotkałam Kamila (Wrzosa, Fundacja Generator Inspiracji – red.). Oboje zostaliśmy niejako wrobieni, ja nie chciałam tam być, a Kamil przyjechał do 20 dzieci, a było 120. Taka drobna pomyłka (śmiech). Kamil opowiedział mi wtedy o Projektorze – wolontariacie studenckim. Nie miałam pojęcia, że coś takiego istnieje. Kamil zarzekał się, że już nie przyjedzie do Futomy, ale przyjechał w zimie z kolejnym projektem. Futoma jest specyficzną wsią, mieszkańcy są bardzo społeczni, cały czas coś się dzieje, działa bardzo duży chór, Stowarzyszenie Kulturywowania Tradycji Futomskich, Koło Gospodyń Wiejskich, więc Kamila to wciągnęło. Dyrektor szkoły był bardzo przychylny, zaproponował pomieszczenie na biuro. I Kamil z kolegami założył Fundację Pomocy Dzieciom i Młodzieży Barka (po zmianie nazwy, obecnie Fundacja Generator Inspiracji – red.). Miałam blisko, no i miałam dużo wolnego czasu, więc zaczęłam przyjeżdżać do nich i włączać się w różne działania. A że byłam tak wychowana, że trzeba coś robić oprócz pracy zawodowej, więc się wciągnęłam.

Rodzice zawsze powtarzali, że warto pomagać i chociaż różnie ta pomoc może być odbierana, to mimo wszystko trzeba



BS: Co cię ujęło, dlaczego się zaangażowałaś?

MK-G: To jest dosyć ciekawe. Mogły mnie zgarnąć inne organizacje, byłam harcerzem, nawet drużynową, byłam też w Oazie Dzieci Bożych, ale żadna z tych organizacji nie pociągnęła mnie tak do końca. W pewnym momencie coś się urywało, nie było chęci działania, dużo rzeczy trzeba było robić samemu, a tutaj widziałam konkretne działania. W 2010 roku Kamil z Adamem (Ptasińskim – prezes Fundacji Generator Inspiracji – red.) zaproponowali mi stanowisko w zarządzie i tak od tej pory działam.

BS: Czym jest dla ciebie ta działalność, co powoduje, że tak bardzo się angażujesz?

MK-G: Widzę działanie innych, jedni nakręcają drugich. Obserwuję zapał Kamila, Adama... Więc próbuję im dorównać. I widzę efekty tych działań: to są rzesze studentów, kolejne kampanie, projekty, które są doceniane. Tak jak teraz Polska Fundacja Dzieci i Młodzieży uznała nasz projekt Młodzieżowe Laboratorium Nauki za projekt modelowy, czyli był dobry, potrzebny i wart naśladowania. I ta energia udziela mi się. Mimo że nie mam czasu, to energii mam dwa razy więcej. Tutaj cały czas jest działanie, ciągle są nowe wyzwania. A ja lubię się sprawdzać się w nowe dziedziny. Organizowaliśmy mnóstwo rzeczy, od 100-osobowej kolonii, przez turniej piłki halowej, po galę na 200 osób. Wszystko co organizujemy ma jakość: od plakatu, przez zaproszenia, po treści merytoryczne. Wszystko jest przekazywane na bardzo wysokim poziomie, chociaż to ciągle Fundacja, a nie jakaś korporacja. Każde działanie jest tak przeprowadzone, żeby przyniosło korzyść i nam, i tym, którym je oferujemy.

Młodzi ludzie mają taką werwę, chęci, tylko trzeba umieć to z nich wydobyć

BS: Czym jest dla ciebie współpraca z młodymi ludźmi. Czy ma znaczenie, że to właśnie takie osoby?

MK-G: Myślę że tak, ja ciągle czuję się młoda duchem. Młodzi ludzie mają taką werwę, chęci, tylko trzeba umieć to z nich wydobyć. Z osobami dorosłymi jest inna współpraca, każdy z nich ma swój bagaż doświadczeń, swoją życiową mądrość, i ciężko jest zmienić pewnie nawyki i przyzwyczajenia. Natomiast młodzi ludzie są na początku tej drogi, możemy ich nakierować na takie działania, które w przyszłości przyniosą im korzyści, mają szansę osiągnąć dużo więcej niż ich rówieśnicy, którzy „tylko” studiuja.

BS: Kręci cię to, że macie na nich taki wpływ, gdy obserwujesz jak się zmieniają?

MK-G: Każdy z nich ma swój rozum. Ale tak, zmieniają nawyki. Pamiętam jak 5 lata temu jechaliśmy na jakąś konferencję do Warszawy i mogliśmy zabrać 2 studentów. Dla mnie to było trochę śmieszne, bo oni byli przerażeni tym, że jadą do stolicy. Nie wiem, może myśleli że się zgubią i że będzie tam koniec świata. A teraz jest tak, że jeżeli jest jakaś fajna konferencja czy szkolenie, to mówią: „Słuchajcie, chcemy pojechać”. I dajemy im pieniądze, a oni sami wszystko organizują i jadą. Zmieniliśmy tę postawę. Pokazaliśmy, że stolica nie jest tyśiąc kilometrów stąd, że trzeba chcieć więcej. Nasza studentka miała odwagę, przy troszkę naszej pomocy, napisać projekt do ministerstwa i dostała 40 tysięcy złotych. Przypuszczam, że wcześniej nie wpadłoby jej to do głowy. Nasi studenci realizują projekt Młodzież w Działaniu. Robią tam wszystko: od promocji, przez realizację, po rozliczenie. Wcześniej, gdyby wiedzieli, jakimi pieniędzmi będą obracać, to



Tutaj cały czas jest działanie, ciągle są nowe wyzwania

byłby stres, tak jak z tym wyjazdem do stolicy. Bardzo mi się podoba, że zmieniamy ich zwyczaje i myślenie, bo to jest najtrudniejsze.

BS: Kiedy ich obserwujesz, jak się zmieniają z miesiąca na miesiąc, są bardziej otwarci, odważni, to co sobie myślisz?

MK-G: Że warto, że jest taka potrzeba, że przynosi im to korzyści i oni to dostrzegają. Bo ja już mam swoją ścieżkę. Ale ta działalność zmienia również i mnie. Po zakończeniu studiów wydawało mi się, że jestem panią magister i to koniec, i tyle: dom, praca... A tu się okazało, że trzeba umieć rozliczyć projekt, znać się na księgowości, marketingu, prawie... Z rozwojem Fundacji i ja się rozwijam. Na początku Fundacja miała stare biurko w Futomie i nie trzeba było wielkich kompetencji, tylko na przykład stworzyć jakieś zaproszenie. Mieliśmy jakieś konto, ale i tak nie było co na nim trzymać. I nagle Fundacja dostała jeden, drugi projekt. Mamy biuro w Rzeszowie, na naszą galę przychodzi 200 osób, idziemy w nowe technologie. Więc ja też musiałam się rozwijać, nie mogłam stać w miejscu, musiałam i chciałam, i nadal chcę się uczyć. Bardzo mi się to podoba. Zawód nauczyciela też tego ode mnie wymaga. Kiedyś uczyło się z podręczników, teraz uczy się z multibooków, pokazuję moim dzieciom te nowości. Fundacja rozwija moją osobowość: umiem się wypowiedzieć, potrafię wyjść na scenę. Prowadzę programy stypendialne, jeżdżę do liceów i proponuję uczniom ten program, jestem więc menadżerem. Sama Cafe Obywatelska, w której jestem szumnie nazwana liderem, wymaga ode mnie wiele, bo organizuję comiesięczne kluby dyskusyjne, muszę zadbać o to, żeby byli eksperci, miejsce spotkania, catering, trzeba to opisać, sfilmować i moderować rozmowę. Świetnie mnie to rozwija. Ile jeszcze mam zagrać tych ról w życiu? Nie wiem. Bo to

nie jest tak, że jestem nauczycielem i koniec. W dzisiejszym świecie nie wiadomo, gdzie ta oświata dojdzie, więc muszę mieć tę inną drogę, żeby nie okazało się, że nie ma dla mnie pracy. Oby nie! (śmiej).

BS: Więc niejako zabezpieczasz się na przyszłość. Zdobysz nowe kompetencje, umiejętności, bo nie wiadomo kiedy to się przyda.

MK-G: Zdecydowanie tak.

BS: A do tego wszystkiego jesteś żoną i mamą...

MK-G: To przede wszystkim (śmiej). Mamą jestem przede wszystkim, bo nie da się być mamą troszkę, ja przynajmniej tak nie umiem. Więc jeśli u mojego dziecka w przedszkolu rodzice grają w przedstawieniu, to ja też gram. Jeżeli jest organizowany bal charytatywny dla przedszkola, to ponieważ nie umiem piec placków, zajmuję się organizacją tego balu. Jeżeli można pomóc napisać projekt dla przedszkola, to tak się dzieje. Dzięki programowi Działaj Lokalnie, w ubiegłym roku odnowiliśmy plac zabaw dla dzieci. Tak więc mamą jestem przede wszystkim. Mam taki moment w ciągu dnia, w którym nigdy nie biegnę, wtedy gdy odprowadzam Olę do przedszkola. Nawet kiedy wiem, że jestem spóźniona, trudno, to jest moment dla Oli. Idziemy powoli i rozmawiamy. Bo nie zawsze mogę jej przeczytać bajkę na dobranoc, więc ten czas rano to jest święto. Bardzo się cieszę, że moje dziecko nie odczuwa tego, że jestem tak bardzo zabiegana. Ma świetne babcie, no i przede wszystkim mąż bardzo mnie wspiera. On również działa społecznie, chociaż nie w takim stopniu jak ja. Dwie osoby tak samo nie mogą się zaangażować, bo dom też trzeba prowadzić. A jaką jestem żoną, to musiałby się mąż wypowiedzieć (śmiej). Na



pewno nie codziennie stawiam na stole gorący obiad, ale dom staramy się mieć normalny. Ostatnio zamieszkała z nami Aida – kotka, która też potrzebuje uwagi.

BS: Pracujesz, działasz społecznie, masz rodzinę, obracasz się w różnych środowiskach, jak myślisz, co trzeba zrobić, żeby ludziom dobrze się żyło wspólnie, w takich większych społecznościach.

MK-G: Myślę, że ludzie potrzebują spotkań. Przez 13 lat byłam jedynaczką, ale tego nie odczułam. Moi rodzice zawsze się z kimś spotykali, to było skręcanie mebli, to komuś udało się kupić pralkę. Nie trzeba było umawiać się na konkretną godzinę, tylko spontanicznie.

Bardzo mi się podoba, że zmieniamy ich zwyczaje i myślenie, bo to jest najtrudniejsze

Teraz jest problem, żebym poszła tak z marszu do koleżanki, żebym nie musiała się umawiać. Tego ludziom brakuje, takich spotkań, dyskusji, nie żeby się z kimś umówić, ale żeby zadzwonić dzwonkiem i wejść. Myślę, że nasze społeczeństwo bardzo się zamknęło. Kiedyś mój kolega wrócił z Ameryki i mówił: „słuchaj tam jest okropnie, tam trzeba tydzień wcześniej się umawiać, żeby pojechać do kogoś w odwiedziny”. A u nas teraz też to się dzieje. Jedni drugim zazdroszczą, więc albo ich nie lubią, albo dołują. Dawniej u mojej cioci w bloku znała się cała klatka, a teraz czasami nawet nie mówią sobie „dzień dobry” w windzie. Więc nie ma tej takiej nieformalnej wspólnoty, żeby usiąść i pogadać.

Ta energia udziela mi się. Mimo że nie mam czasu, to energii mam dwa razy więcej



Pokazaliśmy,
że stolica nie
jest tysiąc
kilometrów stąd,
że trzeba chcieć
więcej

**BS: Jest szansa, żeby to się
zmieniło?**

MK-G: Są takie próby, ale portale społecznościowe nam to zabrały. Także zazdrość sprawia, że jak sąsiad ma lepiej, to ja do sąsiada nie pójde. I ten pęd za pracą, za zleceniami... Myślę, że ciężko będzie to odwrócić, może w mniejszych miejscowościach, na wsiach, ale chyba nie w mieście.

BS: Jesteś szczęśliwa?

MK-G: Tak, bo czego mogę chcieć więcej? Mam dom, kochającego męża, uroczą córeczkę, pracę zawodową, w której też się spełniam, moi uczniowie zdobywają nagrody w konkursach. Mam w życiu pasję: działam w Fundacji, spotykam tam nowych ludzi – to też jest droga, którą chcę iść. Mam takie szczęście, że to co sobie wymarzę, to mi się spełnia. Mam ogromne wsparcie rodziców i teściów... I czasem tylko boję się, że nie zawsze wszystko będzie się tak świetnie układało...

Zdecydowana, energiczna, doskonale wie, co chce powiedzieć. Widać, że zależy jej na młodych ludziach, którym pomaga wejść na rynek pracy. Widać też, że głęboko wierzy w sens aktywności w różnych dziedzinach życia i w różnym wieku.



„Pochyłam się nad marudzącymi”

Rozmowa z Lucyną Krzemińską – kierowniczką Biura Karier i Projektów Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Tarnowie, doradcą zawodowym, coachem i trenerem.

Pomyślałam, że trzeba zarazić tą aktywnością ludzi młodych

Bernadeta Szczypta: Wiem, że Biuro Karier i Projektów tarnowskiej PWSZ podejmuje niestandardowe działania mające aktywizować studentów, jakie to są działania?

Lucyna Krzemińska: Poza działaniami typowymi dla biura karier, czyli prowadzeniem zajęć z wchodzenia na rynek pracy i rozmów doradczych, próbujemy przekonać studentów, że aktywność pomaga w różnych dziedzinach życia, także społecznego, i w efekcie w odnalezieniu się na rynku pracy. Chcemy działać niestandardowo. Podjęliśmy na przykład inicjatywę pod hasłem Międzypokoleniowy Biegun Ciepła. Sama zachwyciłam się działalnością seniorów, którzy tworzą w Tarnowie nie jeden a kilka uniwersytetów trzeciego wieku. Myślę, że my ludzie, w średnim wieku czy młodzi, jesteśmy często zrzędlivi, ociążali nie tylko ruchowo, lecz także umysłowo, a seniorzy tryskają energią, entuzjazmem, aktywnością. Pomyślałam, że trzeba zarazić tą aktywnością ludzi młodych. I tak ruszył nasz Biegun Ciepła z 20 młodymi osobami. Najpierw zorganizowaliśmy warsztaty o tym, jak starsi postrzegają młodych, oraz takie, które miały nauczyć ich pracy metodą projektu. Później studenci podzielili się na małe grupy, dołączył do nich senior, który był ich konsultantem. Zastanawiali się, czy projekt który tworzą jest potrzebny czy też nie. I napisali małe projekty, od społeczno-kulturalnych do technicznych. Jedna grupa wymyśliła na przykład czujniki upadku dla osób starszych. Finałem tego projektu było spotkanie seniorów ze studentami. Wybraliśmy 4 najlepsze projekty, które zostały nagrodzone i być może teraz będą miały szansę na realizację.

BS: Co ten projekt dał ludziom młodym, a co starszym?



LK: Młodzi zaczęli postrzegać osoby starsze w zupełnie innym świetle, jako osoby, które są bardzo przydatne, choćby ze względu na doświadczenie zawodowe. A starszym dało to możliwość przebywania ze studentami, dzięki czemu czują się dowartościowani, bo oto młodzi chcą czerpać z ich doświadczenia. Takie bycie razem, przy okazji realizacji projektów, zaspokaja potrzeby obu stron. Projekt zakończył się, mini projekty zostały wybrane, ale nie było funduszy na ich realizację, teraz trwają poszukiwania pieniędzy na wdrożenie ich w życie. Mam nadzieję, że będą kolejne tego typu akcje.

BS: Trudno jest zaktywizować młodych ludzi, zachęcić ich do robienia czegoś poza nauką?

LK: Nie jest to proste. Każdy z nas ma swoje obowiązki, młodzi też. I każdy z nas myśli, że to co robi w danym momencie życia jest najważniejsze, na przykład uczenie się czy zdawanie egzaminów. Jest na pewno grupa, która daje się łatwo zaktywizować, ale to jest niewielki procent. Nawet Café Obywatelska jest takim przykładem, nie pojawiły się tłumy. Ale nie ma się co przejmować ilością. Założmy, że tu zaangażuje się 5 osób, w inną inicjatywę 10, i tym sposobem będziemy włączać młodych w różne przedsięwzięcia. Na naszych zajęciach spotykamy się ze studentami trzeciego, czyli ostatniego roku i być może jest trochę za późno, bo dopiero wtedy pokazujemy im ogrom możliwości, jakie mieli na wyciągnięcie ręki przez całe studia. I niektórym dopiero wtedy otwierają się oczy, że mogli zrobić więcej, a nie oddawać się tylko nauce i zdawaniu egzaminów. I w związku z tymi obserwacjami podjęliśmy drugą inicjatywę pod hasłem Rzecznik Karier. Wyłowiliśmy aktywne osoby już na pierwszym roku studiów, a także na drugim i trzecim. Chcemy przez nie docierać do całych roczników. Pla-

nujemy dla nich szkolenia. Mamy nadzieję, że staną się naturalnymi liderami i wszystkie te aktywności, które proponujemy w Biurze Karier, będą przekazywać swoim kolegom i koleżankom. Z pierwszaków wyłowiliśmy parę naprawdę fajnych osób, które chcą być aktywne, ale nie bardzo wiedzą jak to zrobić, więc mam nadzieję, że zagospodarujemy tych studentów.

BS: Może to jest właśnie ta główna przyczyna, że osoby, które chcą być aktywne, nie wiedzą, gdzie ulokować swoją energię?

LK: Wydaje mi się, że osoby, które chcą, zawsze znajdą ujście dla swojej aktywności. Jeśli mają cel, to odnajdą się w każdej sytuacji, osobę czy instytucję, która ich wesprze. Ale rzeczywistość są i osoby, które może by coś zrobiły, ale nie wiedzą co, nie wiedzą jak, chęci trochę mają, i jeśli trafią na kogoś, kto im poda rękę to dobrze, ale jeśli nie trafią, to może nic z tego nie wyjść. I może ci, których wyłapujemy na pierwszym roku, czekają na to, żeby im podsunąć jakieś możliwości. Pewnie w wielu przypadkach tak właśnie jest.

BS: Jak pani przekonuje młodych ludzi, że warto być aktywnym?

LK: Z racji tego, że reprezentuję biuro karier zawsze to przekładam na aktywność zawodową. Pokazuję, że nie jest tak, że nie ma pracy, że się nie da, że wszystko dookoła nas jest złe i niczego nie można zrobić, tylko to jest kwestia odpowiedniego podejścia. Pokazuję też, że nie ważne czy mieszka się w małej miejscowości czy dużej, bo w tej chwili jest ogromny dostęp do narzędzi np. multimedialnych i jest mnóstwo możliwości pracy i współpracy. Trzeba tylko mieć jakiś pomysł na siebie, a potem znaleźć możliwości realizacji. Mówię im też o tym, że bez jakiegokolwiek aktywności będzie im trudno o pracę. Każda aktywność jest szan-

są na nawiązanie fajnych kontaktów, a te mogą przełożyć się na pracę. Każda aktywność czyni nas bogatszymi o wiele doświadczeń, których nie zdobylibyśmy, siedząc w domu.

BS: Ale słyszę też zgorzkniałych młodych ludzi, którzy mówią że podczas studiów angażują się w różne przedsięwzięcia ale po studiach okazuje się, że jedyne na co mogą liczyć to na przykład na staż. Czują się oszukani, nawet mówi się o nich stracone pokolenie.

LK: Słuchając młodych ludzi, można przyznać im rację, bo jeśli wziąć pod uwagę oferty pracy na przykład w Tarnowie, to nie ma ich ani dużo, ani nie są bardzo atrakcyjne. Ale jest i ta druga strona, czyli podejście: nie da się, bo nikt nie proponuje, nie daje, nie przynosi ofert na talerzu. Pokazuję młodym ludziom, jak wielu naszych studentów, poprzez swoją aktywność czy staż, wykreowało sobie miejsce pracy. Pracodawcy potwierdzają, że nie było w planach takiego stanowiska, ale pojawił się fajny młody człowiek, który wykazał się zaradnością i obrotnością, i pomyśleli, że postarają się zorganizować dla niego miejsce pracy, bo taka działalność w firmie jest potrzebna. To oznacza, że można. Jesteśmy jednym z nielicznych biur karier w Polsce, które weszło w sieć Akademickich Inkubatorów Przedsiębiorczości. W ciągu jednego dnia można założyć swoją działalność gospodarczą i taki start up może funkcjonować w komfortowych warunkach, bez większego ryzyka, trzeba tylko chcieć.

BS: Studenci korzystają z tej propozycji?

LK: Tak, ale są to nieliczne osoby. Firm jeszcze nie ma, bo działamy od czerwca ubiegłego roku. Gdyby przyszło mi określić częstotliwość, z jaką nas odwiedzają, to jest

Pokazuję młodym ludziom, jak wielu naszych studentów, poprzez swoją aktywność czy staż, wykreowało sobie miejsce pracy



ona mierna. Mam nadzieję, że to się rozkręci. Zamiast marudzić, że się nie da, można przyjść i sprawdzić co w ramach AIP da się zrobić. To jest kolejna inicjatywa biura karier, która wychodzi poza standardowe działania, bo AIP-y powstają przy uczelniach jako odrębne byty, a my robimy to siłami biura karier.

BS: Denerwują panią ludzie marudzący?

KL: To marudzenie ma różne podłoże i różny wymiar. Jak widzę marudera to najpierw chcę z nim porozmawiać i zrozumieć, z czego to wynika, czy to jest ktoś marudzący dla zasady, a nie ma do tego podstaw, czy też to marudzenie wynika z pewnych warunków społecznych i rodzinnych, w jakich funkcjonuje. Jeżeli są to na przykład powody rodzinne, to wtedy staram się pomóc, podać rękę, zmotywować, pokazać inny punkt widzenia i to wystarcza, ten człowiek przestaje marudzić i wskakuje na zupeł-

nie inną półkę. Są też ludzie, którzy nie mają wsparcia w swoich rodzinach, dla wielu z nich studiowanie w Tarnowie jest czymś, co jest dla nich ogromnym osiągnięciem, bo nie mają takich korzeni ani tradycji rodzinnych. Trudno porównywać osobę, która wychodzi z ciężkich warunków ekonomicznych albo nie ma tradycji rodzinnych żeby studiować, próbuje coś zrobić i ma pod górkę z kimś, kto ma świetną sytuację rodzinną, może studiować w miejscu, w którym chce, a i tak na nic nie ma ochoty. Marudzenie tych dwóch osób to są dwa zupełnie różne rodzaje narzekań. Zawsze dociekam, co jest powodem. Jeżeli to jest po prostu niechęć do działania i zwykłe lenistwo, to takiego kogoś trzeba postawić na nogi, a jeśli w podtekście jest coś więcej, to trzeba pomóc.

BS: Ciekawe jest to, że pani chce dążyć, chce dowiadywać się, co siedzi w człowieku. Od zawsze Pani tak się pochylała nad drugą osobą, próbowała ją zrozumieć?



LK: Nie mogłabym wykonywać zawodu doradcy zawodowego, coacha i trenera, gdybym nie miała trochę głębszego wglądu w człowieka. Wiele osób powtarzało mi, że potrafię słuchać. To się ma albo nie. Albo chce się pochylić i zrozumieć drugiego człowieka, albo łapie tylko to, co widać. A to co widać jest bardzo powierzchowne, niejednokrotnie krzywdzące dla tej osoby. Już od 10 lat zajmuje się biurem karier i doradztwem. A wcześniej były różne inne aktywności. Rok po studiach zostałam zauważona jako aktywna i zostałam kierownikiem Centrum Edukacji Menadżerskiej przy Małopolskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Nie wiem co dziekan we mnie zobaczył, że przydzielił mi to stanowisko byłam bardzo młoda. Zorganizowałam wtedy pierwsze w Tarnowie Targi Pracy. To była inicjatywa rozpoczęta na wariackich papierach, ale zakończona sukcesem. Potem były Wirtualne Targi Pracy, już przy PWSZ. Ta aktywność szarpała mną przez wiele lat i to pewnie stąd to przekonanie, że tak trzeba. I tę aktywność zasiałam w moich dzieciach i ponoszę tego konsekwencje. Trudno za nimi nadążyć (śmiech).

BS: Co to dla pani znaczy odpowiedzialny obywatel?

Każda aktywność czyni nas bogatszymi o wiele doświadczeń, których nie zdobylibyśmy, siedząc w domu

LK: To na pewno ktoś, kto jest aktywny, w jakiegokolwiek dziedzinie. To też ktoś, kto ma świadomość siebie jako członka społeczeństwa, kto wie, co mu wolno, a czego nie wolno, co może zrobić, a czego nie może, wie w jakich ramach się poruszać i wiedząc o tym wszystkim, jest w stanie wiele zrobić. To jest osoba, która nie potrzebuje specjalnych stymulacji, z samorządu, z instytucji państwowych tylko sama potrafi podejmować pewne działania. A jeszcze jak do tego potrafi zaangażować innych, to już w ogóle jest super. Taki powinien być świadomy obywatel.

BS: Dużo zna pani takich osób?

LK: Nie chcąc być maruderem, powiem, że owszem są, ale nie jest ich dużo. Ci, którzy są, to często są niewidoczni, działają po cichutku. Ale jeśli ktoś chce ich zobaczyć, to robi to bez problemu. Mówię młodym, żeby nie patrzyli na to, kto dzisiaj jest na pierwszej stronie gazety, kto i jak pięknie mówi, tylko żeby patrzyli na to, co on robi. I radzę im, żeby popatrzyli głębiej. Tego nam chyba wszystkim brakuje. Wielu z nas patrzy powierzchownie, coś widzi i słyszy, ale nie wie co, nie potrafi tego sprawdzić, ustosunkować się krytycznie. Pozostaje nam więc rozmawiać z młodymi, słuchać ich, rozumieć i miejmy nadzieję w ten sposób zmieniać świat.



Wygląda na poważnego, ale w kącikach ust błąka mu się uśmiech. Kiedy opowiada o młodych ludziach, mam dreszcze. Jestem pod wrażeniem tego, jakie mają osiągnięcia. Ale nie wiem, czy nie jest ważniejsze to, jak Marcin o nich opowiada. Z pasją, dumą, zachwytem. Wierzy w nich, a ja wierzę w to, co mówi.



„Poprawiam
wózki
w
sklepach”

Rozmowa z Marcinem Lewandowskim. To trener umiejętności społecznych oraz inicjatywy Tato.net. Z wykształcenia politolog. Od lat działa na styku trzech sektorów: organizacji pozarządowych, administracji i biznesu. Prowadzi szkolenia z zakresu pozyskiwania źródeł finansowania, budowania zespołów, autoprezentacji, zarządzania czasem, partycypacji. Twórca Tarnowskiej Ligi Debatanckiej, animator Tarnowskiego Forum Organizacji Pozarządowych, odpowiada za działanie Tarnowskiego Centrum Organizacji Pozarządowych. Prywatnie – szczęśliwy mąż Edyty oraz tata Szymona, Kuby i Anity.

Bernadeta Szczypta: Podobno w trzecim sektorze jesteś od zawsze, czyli od kiedy?

Marcin Lewandowski: Od momentu ukończenia studiów politologicznych. Właśnie zaczynała się nowa perspektywa funduszy unijnych. Poszedłem do urzędu, chyba wojewódzkiego, i zapytałem urzędnika siedzącego w punkcie informacyjnym, jakie skończył studia, że tam siedzi. I zapisałem się na te studia, czyli na podyplomówkę z doradztwa europejskiego. Poznałem wykładowczynię, która była prezeską jednej z organizacji pozarządowych, zapytałem, czy mogę zostać u niej wolontariuszem. Zgodziła się i tak w moim życiu zaczął się motyw organizacji pozarządowych, który trwa do dzisiaj.

BS: To był Kraków.

ML: Tak. Najpierw był wolontariat, później pierwsze formy zatrudnienia. Z biegiem czasu w tej organizacji zaczęło się różnie dziać, a znałem już wtedy piękną tarnowiankę. Co więcej, na 10 CV, większość wysłałem do Krakowa i jedno do Tarnowa i właśnie to jedno odpowiedziało. No i wylądowałem w Tarnowie (ML pochodzi z Oświęcimia – przyp. BS). Najpierw było Stowarzyszenie Miasta w Internecie, potem zmieniłem pracę i z pracownika organizacji pozarządowych stałem się animatorem społeczności lokalnych, który miał pobudzać organizacje pozarządowe, przede wszystkim do pozyskiwania dofinansowania. I tak działałem przez lata, tak naprawdę na styku organizacji pozarządowych, biznesu i samorządu. Z czasem na horyzoncie pojawiła się młodzież. Może po części

z frustracji, w pewnym stopniu z chęci zmiany otoczenia. Często organizacjom pozarządowym towarzyszy narzekanie, na to, że nie da się, że jest trudno, że jest kiepsko, że tylko znajomości, że

tylko, tylko, tylko... To mnie mocno frustrowało. I wtedy pomyślałem o czymś, czym już wcześniej się zajmowałem. Pracowałem już metodą debat oxfordzkich, prowadziliśmy warsztaty w szkołach, uczyliśmy młodzież kulturalnej dyskusji. W międzyczasie skończyłem Szkołę Trenerów Biznesu. Wydawało mi się, że będę pracował w biznesie jako korporacyjny trener. Pojawił się jednak pomysł, żeby młodzież rywalizowała ze sobą, debatując, żeby każda szkoła obok drużyn siatkarskich, koszykarskich i innych, miała też reprezentację mówców. Napisałem projekt, który otrzymał dofinansowanie i tak w 2012 roku ruszyła Tarnowska Liga Debatancka. W pilotażowym sezonie w projekcie wzięło udział 12 szkół. Rozlosowane zostały grupy po trzy szkoły i zaczęła się rywalizacja o Mistrzostwo Miasta Tarnowa. I to co się wydarzyło – powaliło mnie. Stwierdziłem, że chcę to robić.

BS: Co cię powaliło?

ML: Zapał młodzieży. Żeby przygotować się do pojedynku, potrafili przeczytać całą książkę do wiedzy o społeczeństwie w ciągu jednej nocy. Żeby móc dyskutować na temat tezy: „Powinno się sprywatyzować służbę zdrowia”, potrafili pojechać do współautora reformy służby zdrowia Andrzeja Kosiniaka-Kamysza, zabawić się w dziennikarzy i nagrać z nim wywiad. Później na debacie przytaczali ten wywiad.

BS: Byłeś w szoku?

ML: Tak, w ogromnym. Potem to była lawina. Kolejna szkoła, na tezę: „Polska odgrywa ważną polityczną i gospodarczą rolę w Zjednoczonej Europie”, wysłała mejle do prezydenta, premiera, ministra spraw zagranicznych, byłych ministrów spraw zagranicznych, posłów i europosłów z pytaniem, co o tym myślą. Odpowiedziała tylko kancelaria prezydenta. Dorośli

To co się wydarzyło – powaliło mnie. Stwierdziłem, że chcę to robić.



na wyciągnięcie ręki mieli młodzież... Mogli wciągnąć ją w budowę społeczeństwa obywatelskiego, zachwycić światem, nie zrobili tego. A wśród młodzieży pokutuje teraz taki obraz polityka: cwaniak, złodziej, ściemniak, lejwoda. Walczę z tym, nie wiem, czy to nie jest walka z wiatrakami.

BS: Często są powody, żeby tak myśleć o politykach.

ML: Tak, zdecydowanie tak. Kiedyś włączyłem telewizję, żeby obejrzeć jakiś program publicystyczny. Redaktor zapytał jednego z polityków: „Co pan myśli o fotoradarach?”. A polityk odpowiedział: „Panie redaktorze, jeśli chodzi o sytuację na kolei, to jest dramatyczna” i zaczął opowiadać o kolei, zupełnie nie na temat. W Tarnowskiej Lidze Debatanckiej nie ma na to miejsca. Młodzież musi zagłębić się w temat. Tym bardziej, że system jest wymyślony w ten sposób, że oni dwa tygodnie przed pojedynkiem losują temat. A godzinę przed debatą dowiadu-

ją się czy są za czy przeciw. Finał Ligi odbył się w tarnowskim teatrze, przy komplecie publiczności, z transmisją na żywo w tarnowskiej telewizji. W składzie sędziowskim zasiadał prezydent Tarnowa, dyrektorzy największych tarnowskich mediów, spółek, organizacji pozarządowych. Teza brzmiała: „Tarnów to miasto sprzyjające młodym ludziom”. I wygrało II liceum, które udowodniło, że Tarnów nie jest miastem przychylnym młodym ludziom.

BS: Co na to prezydent Tarnowa?

ML: Prezydent powiedział, że to ciekawe i świeże spojrzenie, które on bardzo sobie ceni. Stwierdził, że nie o wszystkich rzeczach wiedział i nie miał świadomości, że młodzież ma takie problemy. Okazało się, że debata ta wydobyla na światło dzienne problemy młodych ludzi, z drugiej strony dojrzałość władz, które potrafiły takie słowa powiedzieć. I co się okazało? Po pierwszym sezonie Ligi w szkołach pojawili się liderzy, którzy rekrutują



swoich kolegów i organizują przesłuchania do następnej tego typu rozmowy. Ruszył ogromny proces i bardzo mnie to cieszy.

BS: Co czujesz, kiedy widzisz tych młodych ludzi? Tak przygotowanych, tak dyskutujących, tak chętnych podjąć to wyzwanie?

ML: Satysfakcję, ale i obawę, żeby nie wciągnęli się w świat sławy. Widzę, że w swoich szkołach stają się rozpoznawalnymi osobami i to mnie cieszy, z drugiej strony bardzo często mówię im o pokorze, którą zawsze trzeba mieć.

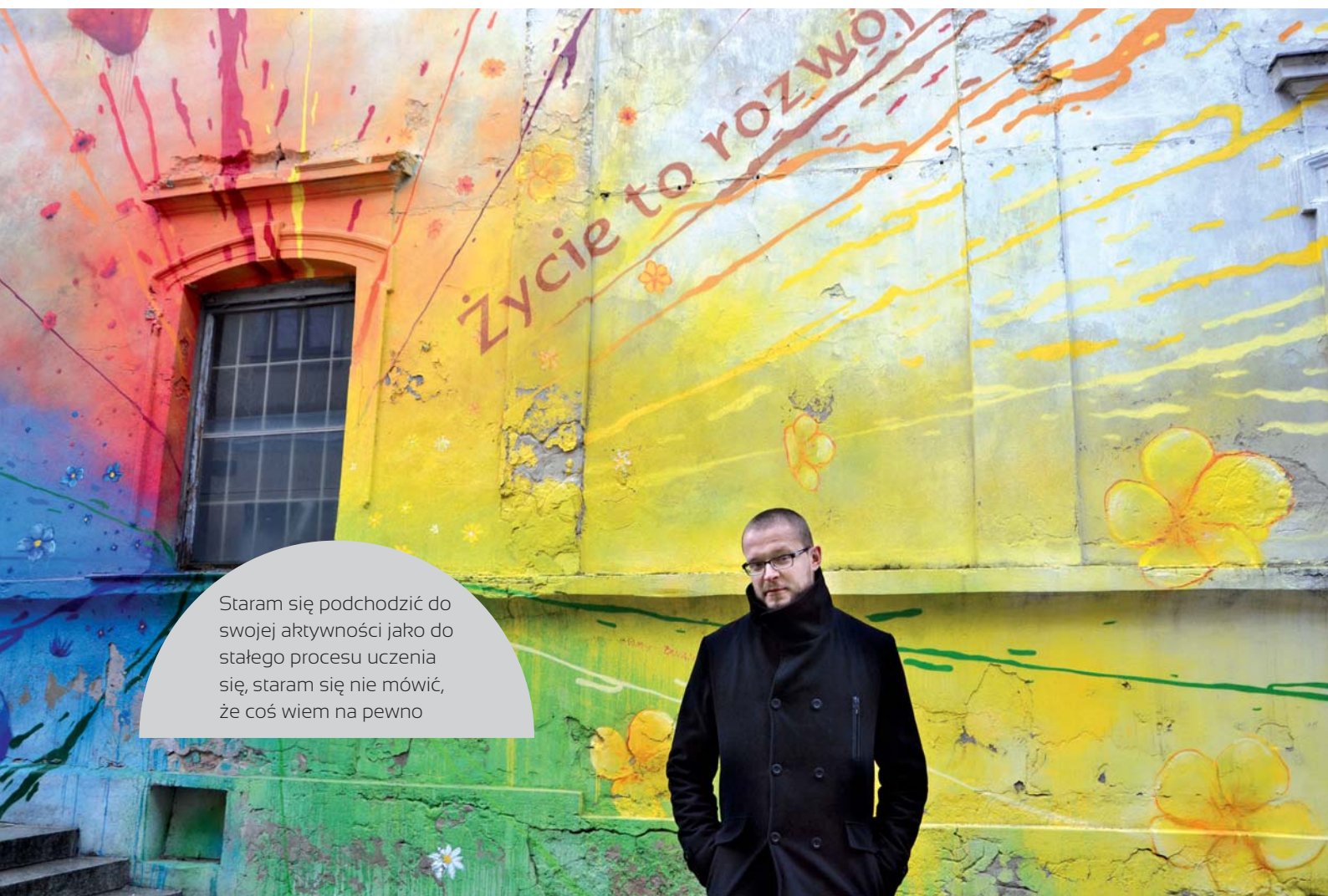
BS: A trzeba mieć pokorę, żeby być takim działaczem jak ty, żeby łączyć biznes, organizacje pozarządowe i samorząd?

ML: Bardzo lubię cytować z filmu „Adwokat diabła”, kiedy Al Pacino grający diabła mówi: „Pycha to

mój ulubiony grzech”. A pokora to ta druga strona. Wydaje mi się, że na każdym kroku trzeba mieć w sobie mnóstwo pokory. Ciągłe się tego uczę. W zasadzie lubię nie zgadzać się z ludźmi, bo to powoduje rozwój. Ale żeby myśleć że to jest rozwój, trzeba mieć pokorę. Kiedy jest w nas za dużo pychy, to zaczyna się taki ping-pong, który mamy okazję oglądać, włączając telewizor.

BS: Było takie zdarzenie, które nauczyło cię pokory?

ML: Pierwszą lekcję pokory odebrałem jeszcze w liceum w Oświęcimiu. Pojechaliśmy na pierwszy turniej koszykówki. Uważaliśmy się za gwiazdy – w ciemnych okularach, kocim krokiem weszliśmy na boisko. Przegraliśmy w pierwszym meczu i odpadliśmy z turnieju. I to doświadczenie towarzyszy mi do dzisiaj. Gwiazdorstwo, brak pokory nigdy nie popła-



Staram się podchodzić do swojej aktywności jako do stałego procesu uczenia się, staram się nie mówić, że coś wiem na pewno

cają. I to było punktem odniesienia na przyszłość. Takie lekcje pokory mam chyba codziennie. Staram się podchodzić do swojej aktywności, jako do stałego procesu uczenia się i nie mówić, że coś wiem na pewno.

Bez motywacji do działania, nic się nie uda

BS: Jak wygląda animowanie współpracy pomiędzy organizacjami, samorządem a biznesem? Co jest najtrudniejsze?

ML: Brak komunikacji. W pewnym momencie, jeśli chodzi o działalność w tych trzech sektorach chyba trochę się wypaliłem. Przyszedł kryzys. Zaczęły mi przeszkadzać maski, które ludzie zakładają, czyli udawanie, że wszystko jest fajnie, ale kiedy schodzimy do podziemia, to zaczynamy swoje stare rozmowy. A chodzi o to, żeby na przykład przedstawiciel do spraw organizacji pozarządowych powiedział szczerze: „Słuchajcie, jestem przepracowany, przeładowany obowiązkami, pomóżcie mi albo spróbujcie wymóc na samorządzie, żeby byli dwaj albo trzej dodatkowi przedstawiciele, albo zespół do spraw organizacji pozarządowych”. I żeby organizacje pozarządowe powiedziały szczerze: „Czujemy się niedoinformowani, nie czujemy się równoprawnymi partnerami w rozmowach, czujemy się petentami, nie chcemy tak”. Ale tak się nie dzieje, nie mówią co tak naprawdę myślą, to jest chyba właśnie ta kwestia zakładania masek. I na to wszystko przychodzi biznes, który też ma swoje interesy i czasami nie jest w stanie wyartykułować tego czytelnie. A może też czasami nie chce, bo albo nie widzi w tym interesu, albo widzi, że to wszystko zaraz się sypnie, bo ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać.

BS: Syzyfowa praca, da się więc połączyć te sektory?

ML: Da się, tylko oni muszą poczuć podstawową różnicę między grupą a zespołem. Grupa to jest

niezorganizowana zbiorowość, która nie widzi podstaw i sensu. Zespół to są ludzie, którzy widzą cel. Kluczową kwestią jest uzmysłowienie ludziom, do czego dążą, jaki jest ich cel, jaka jest ich motywacja, bo bez motywacji do

działania nic się nie uda. Realizuję, ale i oceniam wiele projektów i widzę, że duże korporacje piszą projekty z perspektywy Warszawy i na zasadzie „kopiuj, wklej” przenoszą na różne województwa. I są one realizowane, ale nikt tak do końca nie czuje w nich ani celu, ani klimatu, ani sensu. Dużo do myślenia dał mi projekt Cafe Obywatelska czy Tarnowska Liga Debatancka, gdzie stworzył się klimat ludzi, którzy jak się widzą gdzieś na mieście, to zatrzymują się, pogadają, widać, że między nimi iskrzy. Mam takie doświadczenia, że ludzie którym się chce, wzajemnie się wywąchują, a kiedy się spotkają, mogą gadać godzinami. I kiedy napiszą projekt od podstaw, jako wynik rozmów o tym, czego chcą i jakie mają problemy, to wtedy jest szansa, że to będzie miało rację bytu.

BS: Czego potrzeba organizacjom pozarządowym w Tarnowie, żeby dobrze działały, żeby chciało im się chcieć, żeby były partnerem dla samorządu, dla biznesu?

ML: Muszą czuć, że mają wpływ, że kiedy one mówią, to ktoś ich słucha. Chodzi chyba właśnie o to poczucie wpływu, sprawczości, wtedy bardziej się chce. Natomiast tu pojawia się ten pokutujący od lat sposób funkcjonowania organizacji pozarządowych: uzależnijmy się od samorządu. I jeżeli samorząd da nam 5 tysięcy...

BS: To będziemy działać...

ML: „Boże drogi, dostaliśmy aż 5 tysięcy, jak to jest dużo!” Już od kilku lat prowokacyjnie mó-

wię, że powinno się zlikwidować środki w ramach współpracy z organizacjami pozarządowymi we wszystkich samorządach w Polsce. Może inaczej, nie wszystkie, 50% zostawić, a drugie 50% przeznaczyć na wkład własny w projekty dla organizacji pozarządowych. Oczywiście trzeba by było dobrze rozeznąć czy akurat takie proporcje. Niechby to było i 20% jako wkład w projekty, bo wtedy w organizacjach pozarządowych pojawi się myśl: „Aha, w tym projekcie, na przykład w przypadku źródeł szwajcarskich, potrzebuję 2 procent wkładu własnego, a więc jak dostanę 2 tysiące to mogę pozyskać 98 tysięcy. A jak mam odwieczne 5 tysięcy, to mogę mieć kilkadziesiąt tysięcy!”. W tej chwili organizacje pozarządowe niestety są zależne od tych, tak naprawdę niewielkich, środków samorządowych. I tu jest rola samorządu – edukować organizacje pozarządowe, powiedzieć: „Słuchajcie, jeżeli chcecie, to piszcie, są źródła te, te i te, zapewnimy wkład własny, ale więcej nie mamy”.

BS: To organizacje nie wiedzą, o jakie pieniądze mogą się starać, czy po prostu te środki z miasta są łatwiejsze?

ML: Często jest tak, że jakość wniosków do samorządu, jakiegokolwiek, już nawet nie mówię o Tarnowie, jest na dramatycznym poziomie, ale i tak otrzymują dofinansowanie. Samorząd boi się nie przyznać pieniędzy, bo przecież do tej pory przyznawał... I tak to trwa. Raz na jakiś czas prezesowi stowarzyszenia zapala się lampka: „Moglibyśmy napisać do źródeł ogólnopolskich”. A tam dostają po głowie i to solidnie, bo ktoś im wyjaśni, że oni w ogóle nie rozumieją, co to jest rezultat, cel, nie umieją opisać działania, a harmonogram nie istnieje. Wracają jak zbite pieski do samorządu i mówią: „To my napiszemy o kolejne 5 tysięcy”. Więc tu jest potrzeba strukturalnego oddziaływania i edukacji od podstaw.



BS: Samorząd powinien edukować organizacje?

ML: Samorząd powinien edukować w ten sposób, że nie przyzna finansowania.

BS: Brutalne.

ML: Brutalne. Samorząd powinien powiedzieć: „Szanowny panie, jeżeli pan chce, możemy zrobić szkolenie jak napisać wniosek. Nauczymy co to jest cel, rezultat, jak wygląda opis działań, co to jest harmonogram. I jak to ma się w kontekście budżetu”. I wtedy samorząd ma podkładkę, w sytuacji gdy musi odmówić pieniędzy: „Zrobiliśmy szkolenie, wprost mówiliśmy jak trzeba napisać wniosek, pan tak nie napisał. Mimo naszej ogromnej chęci i woli współpracy nie możemy przyznać dofinansowania, ze względów formalnych, my nie wiemy, na co tak naprawdę chce pan wydać te pieniądze”. To jest brutalne, ale dotychczasowy system nie sprawdził się. System wzajemnego głaskania się i równocześnie pokrzykiwania na siebie: „Piszcie lepsze wnioski – nie chcemy pisać lepszych wniosków! Piszcie lepsze wnioski – nie umiemy! Nauczmy was – nie chcemy”. Ja mówię nie tylko o Tarnowie, bo znam rzeczywistość całej Polski i podejrzewam, że tak jest też w Rzeszowie, Warszawie i innych miastach.

BS: A co dla ciebie znaczy odpowiedzialny obywatel?

ML: Odpowiedzialny obywatel, to taki, który podniesie baner reklamujący wystawę, nie pamiętam czego, tutaj, na rynku. Dzisiaj mocno więcej, mniej więcej 20 banerów, 3 przewróciły się, zastanawiam się, kto je podniesie.

BS: Podniesiesz?

ML: Podniosę. Obywatelskość to tak naprawdę kwestia odpowiedzialności za swoje środowisko, dzielnicę, sklep, w którym kupuję. Ja na przykład mam manię poprawiania wózków w supermarketach, dopycham je do końca, bo wtedy jest ład i porządek. W przeciwnym razie robi się chaos, wychodzi pracownik, który musi to naprawić.

BS: A dlaczego jedni dosuwają wózki a inni wręcz przeciwnie?

ML: Podstawową jednostką jest rodzina i tam często strzelamy sobie w kolano, nie przekazujemy tego co najważniejsze i w dużej mierze jesteśmy kalką rodziców. Czasami, jeżeli chcemy, to walczymy z tym, żeby pewnych rzeczy nie powielać. Natomiast jeżeli w rodzinach nie zacznie się budować społeczeństwa obywatel-

skiego, odpowiedzialności za swoją, tę małą i dużą ojczyznę, to potem w wieku kilkadziesiątu lat ciężko jest to zmienić.

BS: Jak obywatelsko wychowujesz swoje dzieci?

ML: Mam trójkę dzieci, które są świadkami dopychania tego symbolicznego wózka w supermarkecie. Jest to takie osobiste świadectwo: „Skoro tato tak robi, to pewnie jest to normalne”.

(Po kilku minutach od zakończenia rozmowy Marcin zatelefonował i powiedział, że ktoś przed nim podniósł te przewrócone banery – przyp. BS).

Odpowiedzialny obywatel to taki, który podniesie baner



Obywatelskość to tak naprawdę kwestia odpowiedzialności za swoje środowisko, dzielnicę, sklep, w którym kupuję

Ma niezwykle ujmujący uśmiech. Nie musi nic robić, lubi się ją od razu. Jest otwarta i życzliwa. A przy tym konkretna i mocno stąpająca po ziemi. I jeszcze te oczy. Jest w nich coś, czego na początku nie rozumiem, ale po chwili już wiem: wielka ciekawość świata, chęć dotarcia do miejsc czy raczej ludzi, którzy żyją inaczej. Po co jej to? Przecież mogłaby spokojnie żyć.



„Czasami
mnie wkurzają,
ale jestem ich
ciekawa”

Rozmowa z Katarzyną Łabędź. Z wykształcenia – pedagog, animator kultury i koordynator projektów. Kilka miesięcy temu jako pedagog, koordynator projektów i animator kultury w jednym uczestniczyła w dwóch projektach europejskich na Łotwie i w Armenii. Dziś, jako Lider projektu „Cafe Obywatelska” w Tarnowie, inicjuje Latające Kręgi dla Kobiet oraz prowadzi warsztaty pracy z ciałem. Obecnie na I roku Szkoły Counsellingu Gestalt w Centrum Counsellingu Olga i Adam Hallerowie w Krakowie.

BS: Skąd się wzięłaś w Cafe?

KŁ: Byłam w Armenii, kiedy dostałam mejla od Edyty (Sobieckiej – koordynatorki Cafe Obywatelska) z informacją, że tworzy projekt dla studentów. Między innymi napisała, że wydarzenia będą odbywały się w 4 miastach regionu karpackiego. Współpracowałam wcześniej chociażby przy programie Działaj Lokalnie, który koordynowałam. Edyta zamarkowała pytanie czy byłabym zainteresowana współpracą, czy wracam do Polski, czy chciałabym zacząć działać w Tarnowie. No i zaczęła we mnie kiełkować myśl, że wrócę, że chcę pracować w tym sektorze, że chcę zmierzyć się z rzeczywistością tarnowską, że chcę spróbować coś zmienić. I tak krok po kroku, mejl po mejlu powiedziałam ok, biorę to.



projekcie przy którym trzeba na przykład zadbać o to, żeby były spełnione wskaźniki. Wiedziałam jak wygląda projekt i wiedziałam też, że Tarnów jest bardzo specyficznym miastem. I tak było aż do momentu, kiedy zaczęłam dostawać informacje zwrotne od studentów. Wtedy zaczęłam odczuwać radość z pracy w projekcie. Wydaje mi się, że podczas działania, kiedy można spotkać się z człowiekiem i zobaczyć, w jaki sposób to działanie wywiera na niego wpływ, to wtedy przychodzi poczucie zadowolenia, spełnienia, radości.

BS: Fantastycznie wszystko się rozwijało, a ty postanowiłaś wrócić.

KŁ: Pomyślałam, że jeżeli udało mi się zrobić w Armenii Festiwal dla kobiet czy Festiwal ekologiczny, rozpocząć jakieś działania i inne osoby chcą to kontynuować, to czas na nowe wyzwania. Tarnów jest dla mnie takim miejscem, polem do działania, ma ogromny potencjał, mnóstwo rzeczy można tutaj zrobić i jest takim nowym wyzwaniem.

BS: Czyli rzuciłaś się z radością w wir nowej pracy przy Cafe Obywatelska.

KŁ: Z radością... hmm (chwila zadumy). Zdawałam sobie sprawę że jest to duży projekt, duże wyzwanie. Że nie jest to przejaw buntu przeciwko szarej rzeczywistości, tylko praca przy

BS: Jakie to były informacje? Co studenci mówili?

KŁ: Pamiętam, że zrobiłam takie duże spotkanie dla studentów w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Tarnowie. Po oficjalnym spotkaniu część studentów została ze mną i rozmawialiśmy o tym, co oni mogą zrobić w ramach projektu. Rozmawialiśmy o tym, czego im brakuje w działalności ich uczelni i pytałam czy chcieliby się zaangażować w działania społeczne. Wtedy, na samym początku projektu otrzymałam od nich informacje, że chcieliby coś zrobić, że czują w sobie potencjał, ale nie posiadają narzędzi do tego, żeby działać. Więc od samego początku wiedziałam, że Cafe Obywatelska to jest coś, co jest potrzebne studentom, że to może być taka przestrzeń, do tego, żeby zachęcać studentów do działania, ale też żeby mogli działać w jego ramach.

BS: I rzeczywiście ten projekt spełnia ich oczekiwania? Widzisz rozwój studentów?

KŁ: Zdecydowanie. Te 8 osób, wolontariuszy, którzy aktywnie uczestniczą w organizacji i kształtowaniu wizji, jak ma wyglądać Cafe Obywatelska, to ludzie, którzy mają ogromny

Prawdziwy kontakt z człowiekiem, rozmowa, to jest największe bogactwo, największy prezent, jaki można od niego dostać

potencjał, zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że przyszedł z potencjałem, a wychodzą z kompetencjami liderскими. Nie jestem pewna, że to zasługa tylko Cafe Obywatelska, na pewno to też jest ich własny rozwój. Wydaje mi się jednak, że wolontariusze Cafe zaczęli korzystać z różnych narzędzi rozwoju, stali się bardziej odważni w poszukiwaniu, doświadczaniu.

BS: Jednym słowem musiał być ten impuls. A jak to było w twoim przypadku? Był taki impuls, który popchnął Cię w tak różne przedsięwzięcia obywatelskie?

KŁ: Ciężko mi tak naprawdę odpowiedzieć na to pytanie. Zaczęłam pracować jako wolontariuszka na świetlicy dla dzieci z rodzin patologicznych, gdy miałam 16 lat. Zainwestowałam tam swój czas i energię. Nie wiem, możliwe, że tak zo-



Ja jestem z tego pokolenia, które się buntuje, poszukuje i doświadcza

stałam wychowana, żeby być wrażliwą na potrzeby innego człowieka. Zdaję sobie sprawę, że moje pobudki do działania wynikają z mojego buntowniczego nastawienia do świata. Dziś mówi się o pokoleniu good enough, którego jedną z cech jest to, że ludzie się nie buntują. Ja jestem z tego pokolenia, które się buntuje, poszukuje i doświadcza. Czasami jest to na granicy takiego, przyszło mi na myśl (śmiech), braku odpowiedzialności i głupoty...

BS: A ja pomyślałam o szaleństwie.

KŁ: Szaleństwo... może to też. To takie uważne przyglądanie się rzeczywistości i aktywne poszukiwanie swojego miejsca w życiu, to jest priorytet. Nie chcę się dopasowywać, chciałabym znaleźć swoje miejsce i też tworzyć otoczenie, w którym żyję, mieć na niego wpływ.

BS: Co ci pomaga w byciu uważną, w obserwowaniu samej siebie? Łatwo jest dać się wciągnąć w te tryby dopasowania, bronić się przed tym to jest wysiłek.

KŁ: Tak, to jest wysiłek. Myślę, czy można się tego nauczyć. Można to praktykować. Mogę powiedzieć, że pomaga joga, medytacja, natomiast wydaje mi się, że za każdym razem jest to otwarcie serca, to też jest podjęcie ryzyka, otworzenia serca do świata, do ludzi. To jest takie odsłonięcie się. Kilka razy dostałam w łeb, więc nie tak łatwo przychodzi mi to teraz, natomiast ja nie umiem inaczej funkcjonować. Więc, bycie uważną to jest praktyka otwierania serca na drugiego człowieka. Niekoniecznie trzeba ćwiczyć jogę, zakładać nogę za ucho i medytować trzy godziny dziennie.

Bycie uważną to jest praktyka otwierania serca na drugiego człowieka



Ciągnie mnie w takie miejsce, gdzie mogę zrobić coś, czego tam nie ma

BS: Trzeba lubić ludzi? Nie wkurzają cię?

KŁ: Oj, wkurzają mnie, oczywiście! (śmiech). Jestem cholerykiem i z wiekiem to się posuwa niestety. Może bardziej niż to, że lubię ludzi, jest to, że jestem ich ciekawa. Niekoniecznie muszę lubić ludzi i to już wiem, natomiast ciekawość ludzi, to jest to, co mnie popycha do tego, żeby się z nimi spotkać, porozmawiać.

BS: Dlaczego tego potrzebujesz? Po co ci te spotkania?

KŁ: No rzeczywiście, po co mi to, tak niewiele z tego mam (śmiech). Za każdym człowiekiem stoi niesamowita historia, dla mnie jest to wzbogacające. Historie, którymi ludzie się dzielą, od tych takich najbardziej traumatycznych, ciężkich i do opowiadania i słuchania, do historii które mnie inspirują i pomagają



mi spojrzeć z drugiej strony na swoje życie i samej zainspirować się do jakiegoś konkretnego działania. Więc spektrum możliwości czerpania ze słuchania opowieści drugiego człowieka, czyli bycia przede wszystkim ciekawym go, jest ogromne. To jest bogactwo. Wierzę, że prawdziwy kontakt z człowiekiem, rozmowa, to jest największe bogactwo, największy prezent, jaki można od niego dostać.

BS: Nie żałujesz że wróciłaś z Armenii?

KŁ: Oczywiście, że nie. Natomiast już myślę, co będę robiła dalej. Ciągnie mnie w takie miejsce, gdzie mogę zrobić coś, czego tam nie ma. Więc znowu jakieś wyzwanie, nowa kultura, gdzie mogłabym się czegoś nauczyć, czymś zainspirować, dać coś od siebie, z wiedzy, umiejętności, ale też chęć spotkania się z drugim człowiekiem, porozmawiania z nim, pobycia, zrozumienia.

BS: Pozostajemy przy tym wątku kobiecym.

Jest bardzo ważny dla Ciebie, prawda?

KŁ: Pochodzę z rodziny, gdzie jest 5 kobiet, więc takie relacje siostrzane są dla mnie bardzo ważne i w którymś momencie mojego życia sprawdziły się one do działalności społecznej. Podczas studiów uczestniczyłam w kręgach kobiet, nieformalnych spotkaniach kobiet. Zafascynowało mnie to, jak wiele można korzystać z takich spotkań. Teraz jestem organizatorem Latających Kręgów w Tarnowie. To comiesięczne spotkania, na które przychodzą kobiety, które inspirują inne do tego, w jaki sposób zarabiać na tym, co się kocha. I muszę powiedzieć, że powstała niesamowita inicjatywa, w której też maczam palce. Zebrało się kilka kobiet, które wpadły na pomysł, żeby zorganizować Festiwal dla Kobiet w Tarnowie.

BS: A kim jest dla ciebie odpowiedzialny obywatel?

Dla mnie takim wyznacznikiem odpowiedzialności społecznej, obywatelskiej, jest aktywność

KŁ: Hmm... To przede wszystkim obywatel aktywny, czyli taki, który z jednej strony obserwuje to co dzieje się wokół niego, a z drugiej strony aktywnie podejmuje działania do wprowadzenia zmian wtedy gdy czegoś potrzebuje albo coś mu się nie podoba w otoczeniu, w którym żyje. Dla mnie takim wyznacznikiem odpowiedzialności społecznej, obywatelskiej, jest aktywność.

BS: Każdy musi być odpowiedzialnym obywatelem?

KŁ: To by była sytuacja idealna, gdyby każdy wziął odpowiedzialność za miejsce, w którym żyje, pracuje i tym samym działał na jego rzecz. Natomiast czy każdy powinien, musi? Oczywiście, że nie. To indywidualny wybór. A zadaniem działaczy społecznych jest stworzenie innym warunków do wzięcia odpowiedzialności za siebie i społeczność lokalną.



Zastrzega, że nie lubi dużo mówić. I faktycznie, jej wypowiedzi są jasne i zwięzłe. Ale kiedy zaczyna opowiadać o Karpatach, o tym, dlaczego jest to jej miejsce na ziemi, dlaczego chce działać na ich rzecz, nawet nie próbuje powstrzymać słów. Oczy jej błyszczą, uśmiecha się. Tak właśnie wygląda szczęśliwy człowiek.



„Bez
ludzi
Karpaty
umrą”

Rozmowa z Moniką Ochwat-Marcinkiewicz – psychologiem, doradcą zawodowym, trenerem. Inicjatorka i członek zarządu Stowarzyszenia Ekopsychologia. Od 2011 roku prezes zarządu Spółdzielni Socjalnej Serce Pogórza. Autorka licznych projektów skierowanych do lokalnych społeczności Karpat.

Mówi się, że jeśli człowiek nie wie, że może mu się coś nie udać, to mu się to po prostu udaje

Bernadeta Szczypta: Skąd w twoim życiu wzięły się Karpaty?

Monika Ochwat-Marcinkiewicz: Pochodzę z Pogorza Karpackiego, moja rodzinna miejscowość to Wesołów w powiecie tarnowskim. A taką główną inspiracją była działalność mojego taty, który w 1997 roku zorganizował pierwszą międzynarodową konferencję pod nazwą Karpaty Łączą. Odbyła się w senackiej komisji ochrony środowiska. Wzięły w niej udział wszystkie kraje karpackie. Ale później temat ucichł. Kiedy byłam na studiach psychologicznych w Krakowie, zastanawiałam się, co chcę robić, gdzie mieszkać. Z tyłu głowy cały czas miałam te Karpaty. I tak to się zaczęło. W 2003 roku założyliśmy ze znajomymi Stowarzyszenie Ekopsychologia i naszą pierwszą inicjatywą była konferencja dotycząca Karpat i postaw psychologicznych w zakresie ochrony środowiska. Przyjechało ponad 300 uczestników. Do tej pory nie wiem, jak to wszystko się udało. Było mnóstwo zbiegów okoliczności, życzliwości i otwartości różnych instytucji. Mówi się, że jeśli człowiek nie wie, że może mu się coś nie udać, to mu się to po prostu udaje.

BS: Tematy o których mówisz, ponad 10 lat temu nie były na porządku dziennym, nie to co teraz.

MO-M: Tak, to był dla nas dobry czas. Od razu weszliśmy na rynek, nie było dużej konkurencji. Wszyscy patrzyli przychylnie na tego typu tematy, a z drugiej strony to było trudne wyzwanie, szczególnie dla osób, które nie miały wykształcenia w tym kierunku. Z tej grupy przyjaciół, które zakładały Stowarzyszenie, zostałam tylko ja. Dołączyły inne osoby.

BS: Po studiach wróciłaś z Krakowa do swojej rodzinnej miejscowości.

MO-M: Tak, wróciłam do Wesołowa po ślubie, w 2007 roku. Mój mąż stwierdził, że nie będzie żył w mieście. I bardzo się z tego cieszę. Mamy swoją przestrzeń, nie jesteśmy zamknięci, a to przekłada się na sposób myślenia. W mieście nie mogłam znieść tego, że żyję w bloku, zaraz za oknem mam sąsiadów, nie ma zielonej przestrzeni, nie widać nic oprócz budynków. Myślę, że ten obecny styl życia jest lepszy.

BS: Nie zastanawiałaś się, czy po latach mieszkania w Krakowie przyzwyczaisz się do życia na wsi, gdzie będziesz pracowała, czy sobie poradzisz?

MO-M: Nie bałam się. Zresztą zaraz po ślubie jest zauroczenie, inaczej się wtedy myśli. Wyjechałam z Wesołowa na 7 lat, więc to nie był aż tak długi czas. Często bywałam w domu, a praca którą wykonywałam, nie wymagała bycia w Krakowie czy Warszawie. Pracowałam wtedy dla Ligii Ochrony Przyrody. Nie bałam się, że sobie nie poradzę pod względem zawodowym, a to dało mi duże poczucie bezpieczeństwa.

BS: Czyli już wtedy z jednej strony to praca zawodowa, a z drugiej działalność społeczna.

MO-M: Tak. Okazało się, że o wiele trudniej działa się na swoim lokalnym podwórku i to była największa bariera. Do tej pory wiele inicjatyw, które próbuję podjąć lokalnie, nie spotyka się z zainteresowaniem, są traktowane jak konkurencja, jako działalność, która ma prowadzić do aktywności politycznej.

BS: Słyszałaś takie głosy wprost, czy też jest to takie działanie za plecami, na przykład utrudnianie pewnych przedsięwzięć?



MO-M: Nie, to nie jest wprost, nie ma jasnego komunikatu. Realizujemy mnóstwo działań dla gmin karpackich, nasza jest jedną z nich, ale nigdy nie dostajemy odpowiedzi na zaproszenia na konferencje, szkolenia... Gdy wysyłamy ankietę, to trzeba wiele razy upominać się, pomimo tego że wszyscy wiedzą, co robimy.

BS: Jest ci przykro? Przecież robisz to dla nich, a oni nic...

MO-M: Bardziej widzę w tym zmarnowaną szansę tej gminy, dlatego że robimy wiele dobrych rzeczy w innych i tam jesteśmy pozytywnie przyjmowani. To co mogłoby się wydarzyć w naszej gminie, gdzie przepada. Gdzie indziej są lokowane pieniądze, energia, pomysły. Nie traktuję tego osobiście, chyba tak już jest, że najtrudniej działa się w swoim najbliższym środowisku i trzeba długo pracować, żeby ludzie zaufali.

BS: Jakie przedsięwzięcia związane z Karpatami realizujecie i co traci wasza gmina przez to, że nie angażuje się w nie?

MO-M: Stawiamy na budowę kapitału społecznego. Szkolimy na przykład przedstawicieli

organizacji pozarządowych z pozyskiwania funduszy, współpracy, komunikacji interpersonalnej, prowadzimy Szkołę Karpackich Liderów. Organizujemy Fora Karpackie czyli konferencje dla lokalnych samorządów i organizacji pozarządowych, wszystko po to, aby zaczęli ze sobą rozmawiać i współpracować. Mam takie poczucie, że organizacje pozarządowe, a przez to mieszkańcy, których reprezentują, mają za mały wpływ na to co dzieje się lokalnie, że wszystko jest ustalane gdzieś na boku. Konsultacje społeczne często są fikcją, nie chciałabym generalizować, ale nie spotkałam się jeszcze z dobrze prowadzonymi konsultacjami. Przez to tracimy dużo ludzkiego zaangażowania. A Karpaty są taką mistyczną przestrzenią, gdzie człowiek jest najważniejszy. Oczywiście krajobraz, przyroda, ale bez człowieka, to tych Karpat by nie było, nie byłoby kultury, nie byłoby magii.

BS: Dlaczego tak jest, że organizacje nie mają wpływu na to, co dzieje się wokół nich? Nie mają kompetencji? Nie chcą ich mieć?

MO-M: Powodów jest wiele, leżą po stronie i samorządów, i organizacji. Samorzady, które z nami współpracują, mówią na przykład, że



W większości osobami zarządzającymi są mężczyźni, natomiast w formie wolontariatu w większości działają kobiety



organizacje są niedyscyplinowane, pracują w dziwnych godzinach, nie od 8 do 15, są nieodpowiedzialne, nie można im powierzyć budżetów, bo nie rozliczają się odpowiednio, są roszczeniowe, oczekują pieniędzy. Z kolei jeśli chodzi o organizacje pozarządowe, to zarzuty są podobne, tylko w drugą stronę: urzędnicy usztywnieni, pracują tylko do 15. Ale też organizacje nie mają kompetencji, zresztą samorządy także. To jest obudowywanie się przepisami ze strony samorządów a z kolei organizacje pozarządowe nie potrafią traktować samorządów jako partnerów. To jest głęboka przepaść. Są dobre przykłady, ale to zależy od burmistrza, prezydenta czy wójta, bo to głowa decyduje i narzuca styl działania.

BS: Szkolicie także samorządowców?

MO-M: Tak, zaczynamy cykl szkoleń „mediacje środowiskowe”, żeby uczyć komunikacji w celu rozwiązywania konfliktów na tle ochrony środowiska

BS: Ta współpraca jest nieuchronna, prawda? Prędzej czy później musi do niej dojść.

MO-M: Tak, wszyscy zdają sobie sprawę, że pieniędzy unijnych za chwilę może być o wiele mniej, a organizacje są doskonałym partnerem

do pozyskiwania dodatkowego finansowania na działalność społeczną, kulturową, na coś, na co samorządowi zazwyczaj brakuje funduszy. Jest to temat bardzo ważny i już dostrzegany. Organizacje pozarządowe bardzo chętnie uczestniczą w szkoleniach. Także zainteresowanie ze strony urzędników jest coraz większe.

BS: Porozmawiajmy o Karpackich Liderkach, kiedy o nich mówisz, uśmiechasz się. Jakie to są panie?

MO-M: To jest bardzo bogata i różnorodna grupa. W pierwszej edycji mieliśmy ogromne zainteresowanie, była nawet lista rezerwowa. Zgłosiły się kobiety bezrobotne, działaczki społeczne, bardzo często reprezentujące koła gospodyń wiejskich. Udało nam się trafić do malutkich organizacji. W kolejnych edycjach było więcej przedstawiolek samorządu i oczywiście organizacji pozarządowych o różnym profilu: społecznym, zajmującym się zdrowiem, ekologią, były przedstawicielki ludowych klubów sportowych, dziewczyny, które tworzą rękodzieło. Niesamowita wymiana doświadczeń. Wiem, że do tej pory spotykają się i ta przyjaźń trwa.

BS: Czego szukają te panie?

MO-M: Poczucia, że jest się dostrzeganym, docenianym i szanowanym. To jest niesamowite, że kobiety mają większą świadomość, czego potrzebują się nauczyć, żeby działać sprawniej, efektywniej. Po to przyjeżdżały na te szkolenia. Ostatnio robiliśmy przegląd statystyk i okazało się, że w organizacjach pozarządowych oraz samorządach lokalnych w większości osobami zarządzającymi są mężczyźni, natomiast w formie wolontariatu w większości działają kobiety. Więc gdzieś jest zaburzona ta równowaga. Jeśli jest się działaczką społeczną, ale nie ma się wpływu na decyzje, to nie jest tak, jak po-

winno być.

BS: Myślisz, że to się będzie zmieniać?

MO-M: To zależy od kobiet, nie chciałabym wprowadzać reguł, ani niczego narzucać. Jeżeli kobiety czują, że chcą, to potrafią.



wagę, żeby nie dać sobie narzucić pewnych rzeczy. Często jest to też walka. Widzę to u moich dziewczyn ze Spółdzielni Socjalnej „Serce Pogórza”. Wróciły na rynek pracy i robią to co lubią. Musiały powalczyć z całą rodziną, bo poświęcają swojej pracy czas i energię. Myślę, że niewiele osób jest gotowych na taką zmianę w swoim życiu.

BS: Bo czasami kobiety nie chcą.

MO-M: Oczywiście i to jest wybór każdej z nas. To jest bardzo ważne, aby podejmować świadome wybory. W zgodzie ze sobą i swoim potencjałem.

BS: Co cię pcha do tych wszystkich działań? Dlaczego to wszystko robisz?

MO-M: Nie wiem, mąż mówi, że jestem praco-
holikiem. (śmiej)

BS: Myli się?

MO-M: Trochę nie. Niesamowitą fascynacją jest dla mnie to, jak ludzie są różni i jak ogromnie dużo mogą zdziałać, jeśli tylko chcą. To, co w tej pracy najbardziej lubię, to spotkanie z drugim człowiekiem i możliwość pomocy mu w dostrzeganiu jego potencjału. To jest takie animowanie rozwoju. Każdy z nas ma dużo talentów, tylko że przez to gdzie żyjemy, jak żyjemy, kogo mamy obok siebie, często zapominamy o tych talentach albo je zakopujemy.

BS: Czyli lubisz, jak ludzie rozkwitają na twoich oczach?

MO-M: Tak, czuję wtedy radość, ale też szacunek do tych ludzi, bo trzeba mieć odwagę, żeby robić w życiu to, co się lubi. I trzeba mieć od-

BS: Z szacunkiem mówisz o dziewczynach ze Spółdzielni...

MO-M: Tak, części tych osób, które zakładały Spółdzielnię, nie ma już z nami, natomiast ta grupa która została, to są tytany pracy i pozytywnego nastawienia.

BS: W jakich okolicznościach powstała Spółdzielnia?

MO-M: Pierwsze myśli o założeniu Spółdzielni Socjalnej zrodziły się podczas doradztwa psychologicznego i zawodowego, które prowadziłam w 2009 roku. Byłam zdumiona, że kobiety z takim potencjałem są długotrwale bezrobotne. W tak zwanym międzyczasie odwiedziłam Spółdzielnię Socjalną „Opoka” w Kluczach. I to był strzał w dziesiątkę dla mojej grupy. Od tej pory pracowałyśmy nad pomysłem co my – jako spółdzielnia socjalna – możemy robić, jaką nazwę wybrać. Szukałyśmy też siedziby dla siebie. Dzięki kolejnemu pozytywnemu zbiegowi okoliczności (mnóstwo ich w moich życiu) udało nam się zorganizować w Zakliczynie szkolenie z zakładania i prowadzenia spółdzielni socjalnych, co było warunkiem koniecznym, by aplikować po dofinansowanie na

Karpaty są taką mistyczną przestrzenią, gdzie człowiek jest najważniejszy. Oczywiście krajobraz, przyroda, ale bez człowieka, to tych Karpat by nie było, nie byłoby kultury, nie byłoby magii

założenie naszej spółdzielni. Potencjał grupy był ogromny, a szanse na prowadzenie działalności realne. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że ten czas był niesamowity – pomysły, otwartość, energia.

To jest bardzo ważne, aby podejmować świadome wybory. W zgodzie z sobą i swoim potencjałem

MO-M: I nie będzie. To jest taki mariaż organizacji pozarządowej z przedsiębiorstwem. Nikt nie wie czym to się je, członkom wydaje się, że powinni mieć super pracę od razu, zapominają, że oni tworzą to miejsce pracy. Tej specyfiki nie rozumieją też ludzie z zewnątrz. Zaprośiliśmy jedną z pań z pewnej dość poważnej instytucji, żeby u nas nocowała, bo akurat była w okolicy na kontroli. Ta pani powinna być świadoma, bo działa na styku ekonomii społecznej. Powiedziała, że nie będzie spała u bezdomnych. Takie jest skojarzenie.

BS: Brzmi jak bajka...

MO-M: Niestety zaczęły się schody, kiedy już z etapu organizowania spółdzielni przeszliśmy w etap pracy. Problem z porozumieniem się w grupie. Oczekiwania ponad miarę. Roszczeniowość. Rozprawy w sądzie pracy. Osoby, które założyły Spółdzielnię, miały bardzo niewielkie doświadczenie w pracy zawodowej, a w pracy w branży gastronomicznej nikt nie miał doświadczenia. Niektórzy pozostawali bezrobotni przez 17 lat. To szmat czasu. Jednak wszystko co w tym czasie było nie tak, było nam potrzebne do skryształowania zespołu. Niektórzy odeszli ze spółdzielni – ale z tymi dziewczynami, które zostały można sięgać wyżej.



Dla każdego z nas – dla mnie i dla całego zespołu – działalność spółdzielni jest wyzwaniem. To nie jest działalność społeczna, tutaj trzeba się uzbroić w narzędzia niezbędne do bycia konkurencyjnym przedsiębiorstwem. W 2013 roku zostaliśmy nagrodzeni w dwóch konkursach: Małopolski Lider Przedsiębiorczości Społecznej w kategorii Debiut Roku oraz Przedsiębiorstwo Społeczne Roku w kategorii Pomysł na Rozwój. Mam takie poczucie, że te dwa wyróżnienia dały nam siłę na przetrwanie kryzysu, który nas dotknął w 2014 roku. Wiemy, że to co dobre i ważne nie jest tylko za nami, ale trwa. Trwa ciężka, ale satysfakcjonująca praca. A przed nami?... Kto wie?

BS: Spółdzielniom socjalnym w Polsce ciągle nie jest łatwo.

BS: Co jej powiedziałaś?

MO-M: Nic. Poszukaliśmy jej noclegu gdzieś indziej. Uważam, że w takich sytuacjach szkoda tracić energię. Jeżeli ktoś, kto zajmuje się ekonomią społeczną, ma takie nastawienie, to szkoda słów.

BS: Nie stawiasz do pionu, nie interweniujesz?

MO-M: Nie, gdybym może zobaczyła odrobinę otwartości, to tak, ale w takiej sytuacji – nie.

BS: Lepiej jest czasami odpuścić?

MO-M: Tak i tego też trzeba się nauczyć. Działalność społeczna jest super, ale w pewnym momencie przychodzi czas wypalenia i trzeba wtedy na nowo ustalić priorytety, po co to się robi. Muszę być przekonana, że to jest coś, co chcę robić w życiu i nieważne, że cały świat jest przeciwko, że mąż się denerwuje, bo za rzadko jestem w domu. Trzeba się pogodzić z tym, że nie zawsze nam klaszczą, nie zawsze jesteśmy

lubiani, takie jest życie.

BS: Magiczne Karpaty, bo...

MO-M: ...bo różnorodne, bo czasem zamglone, czasem w słońcu. Bo przepięknie tam brzmi muzyka, są zioła, które niesamowicie pachną na połoninach. Karpaty niestety robią się coraz mniej magiczne i stąd moja działalność. Z dnia na dzień umierają osoby, które znają gwarę, tradycje, obrzędy, ziołolecznictwo, z dnia na dzień umiera krajobraz. Gdybyśmy przejechali przez region karpacki, to zobaczylibyśmy, że jest niewiele miejsc które nie są zabudowane, a już nie powiem jak są zabudowane. I dlatego uważam, że ważne jest to, co robię, bo jeżeli w tym momencie nie uświadomimy mieszkańcom Karpat, że to jest ich miejsce i tylko oni mogą zadbać o ten region, to będzie on nadal umierać.

BS: Myślisz o sobie jako o odpowiedzialnym obywatelu?

MO-M: Myślę o sobie jako o świadomym obywatelu. Odpowiedzialność obywatelska jest trudna, bo często wiąże się to z dyskusją, przeciwdziałaniem czemuś. Nie wiem czy nasz kraj jest gotowy na takich obywateli, którzy nie zgadzają się na to, co się dzieje.

Nie wiem czy nasz kraj jest gotowy na takich obywateli, którzy nie zgadzają się na to co się dzieje.



Był małym, cichym, nieśmiałym chłopcem. Głośniejsze dźwięki wydawał przed tablicą. Ponieważ miał lekką wadę wymowy, czasami wyrwał mu się świst. Wychwyciła to koleżanka z liceum. Nazwała go Świstakiem i tak zostało. Teraz Świstak to znak rozpoznawczy, który przyciąga ludzi mających luźniejsze podejście do życia, a oddala żyjących z kijem w tyłku (słowa Świstaka). I to mu odpowiada. Skojarzenia z cytatem z popularnej reklamy „A świstak siedzi i zawija sreberka”, są jak najbardziej na miejscu.



„Nie chcę
się
poświęcać”

Rozmowa z Bartłomiejem Świstakiem Piotrowskim – trenerem, mentorem. Założycielem Team Kraków, jednym z moderatów Free Hugsów na krakowskim rynku, wolontariuszem inicjatywy trenerskiej Narzędziownia.

Chcieliśmy
zrobić coś
pozytywnego

Bernadeta Szczypta: Swój działalność społeczną rozpoczęła od przytulania obcych ludzi. To nie jest oczywiste.

Bartłomiej Świstak Piotrowski: Faktycznie, zaczęło się od darmowego przytulania. Razem z Elą, moją koleżanką ze studiów, wzięliśmy duże kartki bristolu, napisaliśmy „Free Hugs” – czyli darmowe przytulanie i zaczęliśmy przytulać ludzi. To było trzy, cztery lata temu na krakowskim rynku, obok Adasia.

BS: Ale dlaczego, po co?

BŚP: Chcieliśmy zrobić coś pozytywnego. Zainspirował nas ten popularny filmik „Free Hugs” i związana z nim historia. To był 2006 rok, Juan Mann przyleciał do Sydney, ktoś miał na niego czekać, ale nie czekał. Było mu smutno, więc

wziął kartkę, napisał na niej „Free Hugs” i zaczął przytulać ludzi. Ta akcja przerodziła się w ogólnospołeczny ruch na całym świecie.

BS: Jak było podczas tej pierwszej akcji w Krakowie?

BŚP: Większość ludzi reagowała raczej pozytywnie. Zawsze są ludzie, którzy śmieją się pod nosem. Czasem też słyszy się tekst: „Z pedałam się nie przytulam”. Dla osób, które chciałyby przeprowadzić taką akcję, mam radę, żeby miały na pokładzie przynajmniej jedną dziewczynę. I wtedy takie teksty są gaszone: „To proszę bardzo, przytul się z Jolą, Anią czy Kasią”. I żaden z nich nie ma na tyle jaj, żeby się przytulić, są mocni tylko w gębie. Akcja zaczęła się powtarzać. W roku organizujemy średnio od trzech do ośmiu akcji. Na początku to było prawie co tydzień, teraz organizujemy je głównie w Międzynarodowym Dniu Przytulania, Polskim Dniu Przytulania. Ale dużo jest też akcji

Moim celem życiowym
jest pomagać
innym ludziom



bez okazji, czyli zbieramy się i idziemy. W tej chwili są cztery osoby, nazywamy się, między sobą, szarymi eminencjami, a dla innych, na zewnątrz, jesteśmy moderatorem ruchu, nie chcemy nazywać się liderami, bo to jest mocne słowo na otwartą formułę przytulaniową.

BS: Co te akcje dają tobie, a co ludziom, których przytulasz? Gdzie tu widzisz sens?

BŚP: To jest wyjście poza strefę komfortu, dobre dla osób nieśmiałych, które chcą się ośmielić. Tu chodzi o krótkie przytulenie, a nie o podryw. Daje to ludziom uśmiech, radość, zadowolenie. Zasadą jest nie przytulać na siłę, więc czasami wystarczy wymiana uśmiechu, lepiej tak, niż wbrew tej osobie. Mnie też na początku dawało to wyjście poza strefę komfortu, rozwój. W tej chwili jest to lekcja pokory, nauka bycia moderatorem ruchu, to jest dla mnie bardzo ważne. To doświadczenie było mi niezbędne przy innej akcji, czyli protestach przeciwko ACTA. Byłem jednym z głównych moderatorów tego, co w związku z protestem działo się w Krakowie. I tutaj też nie użyłbym słowa lider. Byłem taką osobą, która stwarzała przestrzeń, żeby inni mogli wymieniać się wiedzą, doświadczeniem, żeby te marsze były lepiej zorganizowane. Bez doświadczenia z darmowego przytulania, miałbym pewnie mniej odwagi do kierowania ludźmi, do podpowiadania rozwiązań, podczas tych protestów to było wielkie ryzyko. Mieliśmy na pokładzie ludzi o bardzo różnych poglądach. Próbuje się ich wsadzić do jednego worka, że ci, to lewacy a ci to narodowcy... Większość mediów upraszcza, z jednej strony to rozumiało, ale z drugiej krzywdzące, bo na pokładzie było mnóstwo motywacji, przyczyn, powodów. Dla niektórych to był protest przeciwko państwu, dla kogoś błąd polityków, ktoś inny uważał, że to próba ukrycia, dla kogoś oburzające było to, że padły jakieś serwisy pirackie. Tak więc motywacji było tam mnóstwo.

BS: A Ty dlaczego się zaangażowałeś?

BŚP: Nie chcę żyć w kraju, który w ten sposób postępuje ze swoimi obywatelami, oszukuje ich, działa na ich niekorzyść, próbując zamieść pod dywan i udając, że wszystko jest w porządku. Dla mnie to było za dużo. Uznałem, że to jest zabieranie wolności w internecie i co jak co, ale stamtąd wynocha. Chodzi o to, że jeśli ma być jakaś wolność słowa, możliwość wypowiedzi, to w internecie to musi być i nie może być tak, że politycy się tam wtrącają. Uważam, że lepiej żeby w internecie były też rzeczy złe, ale żeby była tam wolność słowa. Warto ponieść ten koszt, niż godzić się na cenzurę, czyli że pod płaszczykiem zagrożenia terroryzmem czy pedofilią będziemy wszystkich szpiegować, obserwować i podsłuchiwać. To nie jest ten kierunek. Dla mnie wtedy przelała się czara goryczy.



BS: I co zrobiłeś?

BŚP: Najpierw było wydarzenie na facebooku, na którym się dyskutowało, ale ono nie zachęcało do realnej akcji. W pewnym momencie wkurzyłem się na jakąś osobę, która stwierdziła, że powinniśmy napisać petycję. Odparłem, że to nic nie da, że musimy spotkać się w rzeczywistości, bo inaczej politycy nas nie wysłuchają, ludzie nas nie wysłuchają. I ta osoba założyła to wydarzenie na facebooku w swoim mieście i zapytała mnie: „A gdzie Kraków?”. No to też założyłem i pojechałem na weekend do znajomych. I podczas tych kilku dni trochę spanikowałem, bo dołączyło nie 100, 200 osób, tylko 3, 4 tysiące! Odświeżam wydarzenie a tam 4,5 tysiąca. To już było dla mnie za dużo. Narzeczona podpowiedziała mi kontakt z Jarkiem Lipszycem z Fundacji Nowoczesna Polska. I on doradził mi prostą rzecz, żebym zebrał ekipę. Teraz to jest dla mnie proste, ale wtedy byłem przestraszony. Napisałem na wy-

darzeniu, że potrzebuję pomocy. Zebrało się parę osób, w tym drugi moderator, który pewnie określiłby się jako lider, o poglądach mocno odmiennych od moich, dużo bardziej w prawą stronę, politycznie usytuowany i zaczęliśmy to jakoś ciągnąć razem.

BS: Dogadywaliście się?

BŚP: To był bardzo wymagający partner do rozmowy. Gdybym nie był trenerem, prawdopodobnie się nie dogadalibyśmy. W kilku rzeczach się zgadzaliśmy, ale w wielu mieliśmy odmienne poglądy, zresztą dalej mamy.

BS: Co pomogło?

BŚP: Doświadczenie szkoleniowe. Moim celem życiowym jest pomagać innym ludziom. Pracuję z ludźmi, to pomogło, plus na pewno doświadczenia z darmowego przytulania. Miałem dość odwagi, żeby z nim dyskutować. Gdyby tego nie było, to prawdopodobnie w ogóle przejąłby ten ruch.

BS: Co was różniło?

BŚP: Ja uważałem, że to powinien być ruch obywatelski, bez polityki. A on mówił, że ludzie się rozejdą, że to nic nie da, że ten ruch powinien być umocowany politycznie, bo tylko politycy mogą później coś z tym zrobić.

BS: Stańto na twoim?

BŚP: Połowicznie...

BS: Czyli kompromis?

BŚP: Tak, ale kompromis, który był dla mnie porażką. Dzień przed tą główną manifestacją, podczas głosowania przeszedł jego postulat, że na proteście może być trochę polityki, czyli na przykład jakieś transparenty polityczne. Dla mnie to była porażka, bo ja od samego początku o tym wydarzeniu pisałem, że jest organizowane bez polityki. Zaraziłem tym pomysłem parę osób. Na samym proteście pojawił się główny polityk z jego partii, na szczęście został wygwizdany.

BS: Wyszło na twoje...

BŚP: Ostatecznie tak. Marsz tylko na początku był trochę partyjny, ale tylko trochę. Zaledwie jedna partia odważyła się pokazać, a później było już w porządku.

BS: Miałeś moment zwątpienia?

BŚP: Tak, wysłałem wniosek do urzędu, że nie chcę być organizatorem. W papierach jest moja rezygnacja, więc realnie stchórzyłem, bo kiedy przegrałem to głosowanie, to był to dla mnie koniec. Nie chciałem być takim twardym typem lidera, a jednocześnie chcąc być równowagą dla niego, potrzebowałem trochę tej roli.

BS: Może wtedy trzeba było być twardym liderem?

BŚP: Nie, uważam, że decyzje które zostały podjęte, były dobre. Gdyby był twardy lider, to zostałyby tylko osoby o podobnej ideologii, a tu chodziło o to, aby nie wykluczyć ani narodowców, ani anarchistów, ani libertarian. Siłą tego protestu w Krakowie było to, że byli tam tak naprawdę wszyscy.



BS: I ostatecznie tak było.

BŚP: Tak, to się udało, to był największy protest w Europie, na krakowskim rynku było chyba 15 tysięcy osób.

BS: Co z tego zostało?

BŚP: Dwie, trzy grupy na facebooku. Jeśli będzie jeszcze jakiś protest i będzie on bardzo zbliżony w tematyce, to jest potencjał i można zaczynać, bo jest ileś tam osób, które się znają, które ze sobą współpracowały. To samo i jeszcze szybciej stało się na poziomie ogólnopolskim. To był potencjał pod ruch społeczny, który mógł być stały. Ale w dłuższej perspektywie czasu było za mało działań i ten potencjał został zmarnowany.

BS: Szkoda.

BŚP: Szkoda. I ja też przyczyniłem się do tego. Owszem, z jednej strony przedłużyłem tę działalność, bo Kraków był jedną z komórek, które przetrwały najdłużej, ale gdyby mocniej postawiła na działania... Chodzi o to, że nie było realnych efektów i to było demotywujące. Spotykaliśmy się co tydzień przez dwa, trzy miesiące. Wyszła z tego jedna, średnio udana, gra miejska, zorganizowana tak naprawdę samodzielnie przez jedną osobę z ekipy. Była też jedna konferencja, również zorganizowana przez jedną osobę.

BS: Teraz inaczej to wszystko poprowadził byś?

BŚP: Tak, teraz starałbym się tak to moderować, żeby było więcej działania.

„Free Hugs”
– czyli
darmowe
przyculanie

BS: Przejdźmy do kolejnej sfery twojej działalności, która zahacza o obywatelskość i działanie na rzecz konkretnej społeczności, czyli TEAM.

BŚP: Tworzę TEAM – Together Everyone Achieves More. Chodzi o działania, w których biznesmeni, przedsiębiorcy, handlowcy, właściciele małych firm, przedstawiciele wolnych zawodów współpracują ze sobą. Dzięki temu, że spotykamy się co tydzień, powstają nowe pomysły, nowe biznesy, nowe kontakty i to pomaga w tej konkretnej biznesowej sferze współpracować ze sobą. Są trzy takie grupy, dwie w Krakowie i Rzeszowie.

BS: I jak to działa?

BŚP: Spotykamy się co tydzień, każdy może powiedzieć o swoim zapotrzebowaniu, kogo w tym tygodniu poszukuje. Dodatkowo, co tydzień zapraszani są nowi goście, dzięki temu powstają nowe możliwości współpracy. Proponujemy speed networking, czego nie ma w innych grupach, czyli szybka rozmowa w parach, w sumie przez 6 minut. Zadawane są pytania; „Jakie są twoje cele?” i „Jak mogę ci pomóc?”. Dzięki temu, będąc gościem, można szybko załapać, o co chodzi w tym networkingu i potem umówić się na dłuższe spotkanie.

BS: Są efekty?

BŚP: Tak, raz w miesiącu na spotkaniach zamkniętych pytamy komu zwróciła się już składka członkowska, bo uczestnictwo w takiej grupie kosztuje. W tym momencie na 9 osób, 3 osobom zwróciła się. Grupa istnieje od półtora roku. Jestem na etapie analizowania błędów z dotychczasowej działalności, chcę to spisać w formie nowych zasad, procedur, wypowiedzi, żeby działać efektywnie.

Po co się poświęcasz? Dla kogo? Czy warto? Rób coś, co jest bardziej spójne z Tobą

BS: Dlaczego to wszystko robisz?

BŚP: Tego typu akcje są spójne z moim celem życiowym. Uważam, że jestem egoistą i hedonistą, to tak brzydko mówiąc. A ładnie mówiąc,

nie wierzę w altruizm, moim celem życiowym jest po prostu służyć innym ludziom. Ale gdyby to służyć innym ludziom rozłożyć na czynniki pierwsze, to wyszłoby, że jestem egoistą i robię to dla siebie. Uważam, że inni ludzie też tak mają, że ostatecznie, dla każdego to jego „ja” jest najważniejsze. Nawet jeśli będzie to tłumaczone dobrem wspólnym, to ten ktoś robi to tak naprawdę dla siebie.

BS: Bo ten, kto służy, ma najwięcej korzyści?

BŚP: Tak. Nawet jeśli jest to korzyść, że nie myśli teraz o sobie albo czuje się lepszym człowiekiem, bo pomaga innym. Więc moim zdaniem nie ma takiego tworu jak altruizm, ale oczywiście nie zabraniam innym wierzyć w altruizm. Nie będę bojownikiem: „Hej, altruizm nie istnieje, jesteście w błędzie”. Każdy może żyć według swoich przekonań. Jeśli ktoś uważa, że prawdziwy altruizm istnieje i on jest prawdziwym altruistą albo ktoś, kogo zna, to ok. Jeśli w to wierzy, i to u niego działa, to proszę bardzo.

BS: Czy wszyscy powinni angażować się obywatelsko, bardzo szeroko rozumiejąc tę aktywność?

BŚP: Na pewno nie użyłbym słowa „powinni”, jedyne co człowiek musi kiedyś zrobić to umrzeć. Nie ma czegoś takiego jak powinności,

obowiązki itd. Ktoś kto chce zmuszać innych do aktywności czy powinności, warto żeby rozważył, czy to dobrze, że nakazuje innym takie postanowienia. A czy byłoby lepiej dla świata, gdyby było więcej osób zaangażowanych? Pewnie tak. Gdyby więcej osób interesowało się polityką, akcjami społecznymi i swoim sąsiadem to świat byłby lepszym miejscem do życia. Natomiast nie powinno się...

BS: Mówisz nie powinno, wpadłeś we własne sidła (śmiech).

BŚP: Faktycznie (śmiech)... Inaczej to powiem. Jeżeli zachęcamy ludzi i podejmujemy działania w stronę aktywizacji społecznej, to są to dobre działania, na przykład Cafe Obywatelska czy aDaSie. To jest dobry kierunek. Natomiast wymaganie od innych, nakazywanie innym...


BS: ...narzucanie...

BŚP: Tak. To nie jest dobry kierunek, bo to kojarzy mi się z komunizmem: wszyscy musimy być równi, wszyscy musimy mieć mieszkanie. A kiedy państwo nie daje mieszkania, to jest złe. To nie jest rozwiązanie, to nie jest tak, że cokolwiek komukolwiek się należy, że ktokolwiek ma być do czegoś zmuszany.

BS: Wolność jest dla ciebie najważniejsza?

BŚP: Wolność jest dla mnie bardzo ważna. Lepiej, żeby działało dwóch, trzech ludzi z własnej woli, niż żeby 10 było zmuszanych. Kiedyś słyszałem taki wywiad z człowiekiem, który pomagał innym. Opowiadał o tym, co mówi, kiedy przychodzi ktoś nowy i twierdzi, że mógłby poświęcić na pomaganie na przykład trzy godziny. I ten człowiek wtedy mówi: „Wie pan co, jak ma pan coś poświęcać, to lepiej niech pan stąd idzie”.





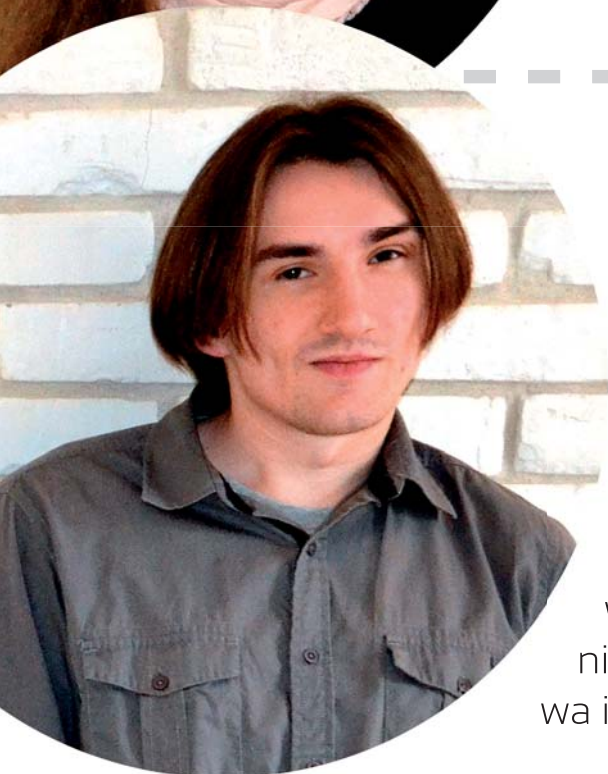
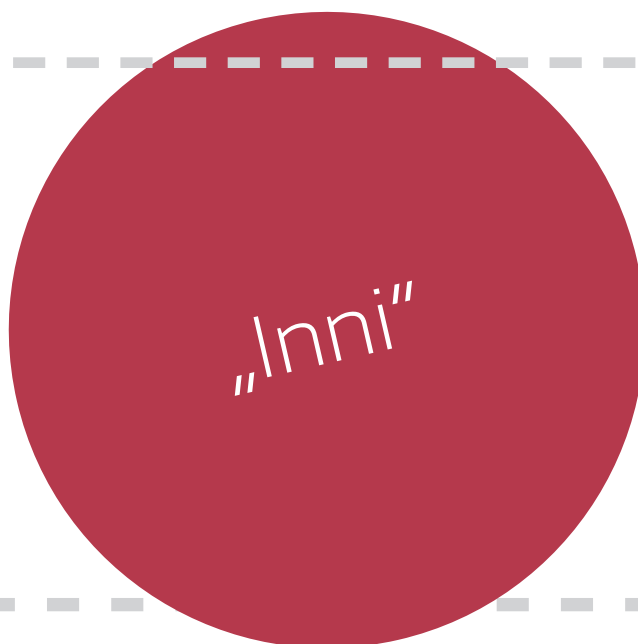
Wolność jest dla mnie bardzo ważna. Lepiej, żeby działało dwóch, trzech ludzi z własnej woli, niż żeby 10 było zmuszanych

I właśnie o to chodzi. Jeśli ktoś ma się poświęcać, żeby pomagać innym, to pytanie czy warto, żeby to robił. Może lepiej niech założy fundację i zarabia na tym pieniądze, jeżeli to jest jego celem, a nie poświęca się na akcjach społecznych. Bo po co się poświęcasz? Dla kogo? Czy warto? Rób coś, co jest bardziej spójne z tobą.

Nie chodzi o to, żeby wszyscy byli egoistami zapatrzonymi w siebie, ale jeśli pomagasz, to rób to dlatego, że sprawia ci to trochę frajdy albo zarabiasz na tym pieniądze i nazywaj rzeczy po imieniu. Nie rób z siebie Chrystusa, którym nie jesteś.

To nie jest rozwiązanie, to nie jest tak, że cokolwiek komukolwiek się należy, że ktokolwiek ma być do czegoś zmuszany

Ona mówi dużo i szybko. On mniej, ale w bardzo przemyślany sposób. Ona jest przebojowa, łatwo nawiązuje kontakt, a na twarzy ma wymalowaną pewność, że wszystko co zaplanuje, uda się. On jest wycofanym i rozważnym wizjonerem. Co ich łączy? Miłość do kultury i sztuki. Tych dwoje młodych poetów tworzy tandem, dzięki któremu w Tarnowie artystom i ich odbiorcom żyje się lepiej.



Rozmowa z Natalią Ewą Julią Trybą oraz Łukaszem Lucjuszem Dubinem – twórcami Grupy Nieformalnej „Aspiranci”. Grupa powstała w maju 2012 roku. „Aspiranci” to pomysłodawcy oraz organizatorzy wielu inicjatyw i wydarzeń kulturalnych w Tarnowie. Działają i współpracują z wieloma organizacjami, instytucjami oraz artystami z Tarnowa i z całej Polski.

Bernadeta Szczypta: Jak się poznaliście?

Natalia Ewa Julia Tryba: W bibliotece spotykaliśmy się co miesiąc z grupą poetów. Pisaliśmy wiersze.

Łukasz Lucjusz Dubin: Na początku było mniej więcej 6 osób.

NEJT: W pewnym momencie stwierdziłam, że nie chcę już spotkań typu cola, pizza i gadamy. Zaproponowałam, żebyśmy zaczęli robić coś konkretnego. Wszyscy kręcili nosem, tylko Łukasz, powiedział: „Dobra, Natalia, róbmy coś”. Zaczęliśmy we dwójkę spotykać się, działać i wymyślać kolejne wydarzenia. I tak zostało. Rozpoczęliśmy już 2. rok działalności.

ŁLD: Wtedy byłem jeszcze na studiach kulturoznawczych. Taka działalność od dawna siedziała mi w głowie. Już chyba rok wcześniej miałem przygotowany projekt, z którym chciałem ruszyć, ale nie miałem osób do współpracy ani samozaparcia. Pojawiła się okazja, to ją wykorzystałem.

BS: Jakie były początki „Aspirantów”?

NEJT: Zaczęliśmy od autorskiego projektu Łukasza „Słowa – Malowane – Dźwiękiem”.

ŁLD: Projekt na początku miał promować młodych lokalnych artystów, ale tak się rozrósł, że zapraszaliśmy do Tarnowa znane osoby z całej Polski. Projekt polegał na tym, że łączyliśmy słowo, obraz i muzykę, czyli malarstwo, grafikę, formy użytkowe, zdjęcia, dokładaliśmy do tego poezję i różnego rodzaju muzykę.

NEJT: Podczas pierwszego wieczoru zaprezentowali się nasi znajomi. W roli piszących wystąpiłam ja i Maksymilian Tchoń. Muzyka należała do Michała Ramsa-Ługowskiego, natomiast nasze dwie koleżanki Monika Chytroś i Ewelina Kogut przedstawiły swoje grafiki. Wieczór odbył się w Związku Polskich Artystów Plastyków Okręg Tarnowski. Ogłosiliśmy to wydarzenie na facebooku, było kilka plaka-

Zaproponowałam, żebyśmy zaczęli robić coś konkretnego. Wszyscy kręcili nosem, tylko Łukasz, powiedział: „Dobra, Natalia, róbmy coś”



tów na mieście. Przyszło około 50 osób.

ŁLD: Jak na pierwszy raz to było dużo osób.

BS: Pewnie wydawało wam się, że to tłum.

NEJT: Tak, później płakałam ze wzruszenia. Wtedy po raz pierwszy odważyłam się wyjść do ludzi ze swoimi wierszami. Nie chciałam tego robić wcześniej, bałam się, że to zostanie źle odebrane. Natomiast jak zobaczyłam ten tłum zebrany na 15 minut przed rozpoczęciem, ludzi pytających czy możemy dostawić krzesła, to się rozdygotałam. Później wszyscy gratulowali i pytali, kiedy zorganizujemy następne wydarzenie. Zrobiliśmy je chyba dokładnie miesiąc później.

ŁLD: Tak i wtedy dobrze się złożyło, bo były to pierwsze w Tarnowie obchody Światowego Dnia Kultury pod nazwą Doba dla Kultury.

NEJT: Przygotowaliśmy wtedy dwa wydarzenia, tzn. Słowa – Malowane – Dźwiękiem podzieliliśmy na dwa dni. W pierwszy dzień przyjechał do nas tarnowski poeta Michał Piętniewicz. Drugiego dnia był wernisaż Grzegorza Wójcika. Chcieliśmy, żeby to wydarzenie trwało dobę i tak się stało. W pierwszy dzień ludzie przyszli na poezję, w drugi na sztuki wizualne.

BS: Poczuliście sens tego co robicie? Poczuliście, że warto podejmować takie działania?

NEJT: Ten sens poczuliśmy, zanim zaczęliśmy działać. Wiedzieliśmy, że chcemy to robić. Nasi znajomi mówili, że w Tarnowie nic się nie dzieje... Mnie to potwornie boli, że ludzie powtarzają takie zdanie, mimo że w miesiącu jest od 15 do 20 wydarzeń. Oprócz tego dokładamy swoje działania. I ludzie przychodzą.

BS: Kto przychodzi?

NEJT: Zależy jakie to jest wydarzenie. Oprócz Słów – Malowanych – Dźwiękiem, organizujemy też koncerty jam session, kiermasze świąteczne, gdzie prezentowane jest rękodzieło, wystawy fotograficzne. To naprawdę sporo wydarzeń i każde z nich ma swoich odbiorców. Nie spodziewaliśmy się, że na przykład na spotkanie „Klimaty Andaluzji” może przyjść do teatru 100 osób. To też był wieczór Słów – Malowanych – Dźwiękiem. Ściągnęliśmy wówczas poetę i tancerza flamenco, przyjechała z nim tancerka i fotograf w jednym. Oprócz tego, że czytali wiersze, pokazywali zdjęcia to jeszcze uczyli kroków flamenco. I ludziom bardzo się to spodobało, do tej pory otrzymujemy mejle z pytaniami, czy jeszcze powtórzy się takie spotkanie, ale z inną muzyką. Trudno jest zamknąć odbiorców naszych wydarzeń w jedną ramę, to są odbiorcy za każdym razem inni.

BS: Czy Aspiranci to „tylko” wy dwoje?

ŁLD: Tak, ja i Natalia, ale mamy dużo współpracowników.

NEJT: Oprócz nas nikt nie jest na stałe. Jesteśmy przy każdym projekcie i każdy dogłębnie. Natomiast przy różnych wydarzeniach pojawiają się ludzie, którzy nam pomagają. Muszą być na przykład ci, którzy przeniosą 50 krzeseł z jednego miejsca w drugie, musi być osoba, która ma znajomego malarza... Więc nie możemy powiedzieć, że to robimy sami, wiele osób dokłada swoją cegiełkę, a my tym zawiadujemy.

BS: Jak na was reagują tarnowskie instytucje kultury?

ŁLD: Nie mamy z tym żadnych problemów. Od zawsze współpracujemy ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków Okręg Tarnowski, który nas wspiera całym sercem i pomaga jak



może. Dzięki Związkowi nawiązaliśmy kontakt z urzędem miasta, z Biurem Wystaw Artystycznych w Tarnowie, Tarnowskim Centrum Kultury oraz innymi instytucjami i organizacjami pozarządowymi.

NEJT: To są instytucje znane i poważane w Tarnowie, więc cieszymy się z tej współpracy, tym bardziej, że jesteśmy grupą nieformalną, nie mamy osobowości prawnej. Oni nas przyjmują i ufają nam. Jeżeli robimy wydarzenie, na przykład w Biurze Wystaw Artystycznych, miejscu o naprawdę wysokiej randze, znanym w całej Polsce, to jest to dla nas ogromny prestiż. Cieszymy się, że ktoś nas docenia, za to co robimy.

BS: Gdybyście mieli kłopoty na tej linii, to pewnie nie byłoby w was tyle entuzjazmu.

NEJT: Chcemy zapełnić tę lukę kulturalną w mieście i nawet, gdyby ktoś powiedział nam, że nie podobają mu się nasze działania, to próbowalibyśmy gdzie indziej, żeby jednak to zrobić.

ŁLD: Już jakieś kłody pod nogi nam rzucają, ale nie poddajemy się.

BS: Gdyby ktoś chciał pójść w wasze ślady, to na jakie trudności powinien się nastawić?

Lepiej jest znaleźć swoją niszę i tutaj działać, robić takie rzeczy, żeby były rozpoznawalne w całej Polsce

ŁLD: Największą przeciwnością są pieniądze, których nigdy nie ma. Najpierw dokładaliśmy z własnej kieszeni, ale w 2013 roku, dzięki zgłoszonemu projektowi do budżetu obywatelskiego miasta Tarnowa, uzyskaliśmy 15 tys. złotych, które wykorzystaliśmy na kilkanaście wydarzeń kulturalnych. W tym roku już nie staramy się o te pieniądze, bo nie podobają mi się procedury związane z realizacją zadań. Może zdarzyć się tak, że ktoś kto zgłasza projekt to, wygrywając go, nie będzie miał wpływu na jego realizację. Głupota.

BS: Nie myślicie o założeniu stowarzyszenia lub fundacji? Byłoby wam łatwiej.

ŁLD: Myślimy o fundacji, w tym roku chcemy się sformalizować.

NEJT: Z naszych wewnętrznych ustaleń wynika, że Łukasz będzie prezesem. Będziemy starać się składać wnioski o pieniądze. My nie chcemy na tym zarabiać, chcemy dalej działać dla Tarnowa.

BS: Jak będziecie się nazywać?

ŁLD: Fundacja Promocji Artystycznej Aspiranci.



On czuje powołanie, a ja uwielbiam współpracę z ludźmi, poznawać ich i robić nowe rzeczy





NEJT: Na pewno nie będzie zmiany nazwy. Mieszkańcy Tarnowa pytają nas, dlaczego nadal aspirujemy, przecież jesteśmy jedyni i nikt dla nas nie jest konkurencją. A my z każdym wydarzeniem stawiamy poprzeczkę wyżej, aspirujemy do tego, żeby było lepiej. Nigdy nie będzie tak, że będziemy się uważać za najlepszych i niezastąpionych. Po nas będą młodsi, którzy będą chcieli działać i my będziemy ich zapraszać do siebie, żeby nie było kilkunastu podgrup, które robią to samo, i każda podkopuje się z wydarzeniami. Chcemy stworzyć silną bazę działania, żeby wszyscy czuli się dobrze. Mamy tutaj plastyk, mamy Instytut Sztuki, szkołę muzyczną. Wszyscy powinni współpracować ze sobą, a nie dzielić się na małe grupki. Zależy nam na tym, żeby zgłaszali się do nas ludzie z pomysłem, a my go zrealizujemy.

BS: Co was pcha do działania?

NEJT: Animator kultury – to zawód Łukasza. On czuje powołanie, a ja uwielbiam współpracę z ludźmi, poznawać ich i robić nowe rzeczy. Lubię ściągać do nas ludzi z Polski.

ŁLD: Mamy coraz więcej kontaktów. W tym roku otworzyła nam się linia Rzeszów-Tarnów-Kraków-Cieszyn. Ludzie z tych okolic będą z nami działać w tym roku.

BS: Przed „Aspirantami” też byliście aktywni społecznie?

NEJT: Nie tak mocno, nie można powiedzieć, że coś było moje. Byłam przewodniczącą kolejnych klas, działałam w kołach dziennikarskich, przy gazetkach szkolnych, później działaliśmy w bibliotece jako twórcy. Aspiranci powstali, gdy byłam w liceum. Teraz podczas studiów działam w kole językoznawców. Tworzymy też projekt Nieomylni, pokazujemy ludziom, że można działać i organizować, np. dyktanda w Tarnowie. To wszystko będzie połączone z działalnością Aspirantów, bo ja nigdy w życiu

nie odejdę od tego.

ŁLD: Przed „Aspirantami” byłem dość dziwnym człowiekiem, nie było u mnie jakiejś wielkiej aktywności społecznej. Z wiekiem doszedłem do tego. Ubzdurało mi się, że w życiu trzeba robić więcej. Jestem z Tarnowa, studiowałem w Rzeszowie. Co ciekawe, nigdy nie mieszkałem w Rzeszowie, zawsze tam dojeżdżałem. Zdarzało się, że wstawałem o 4 rano, by dojechać na zajęcia. To był mój wybór. Nigdy nie chciałem mieszkać w obcym mieście. Ale w Rzeszowie mam dużo znajomych, mam nadzieję, że będę mógł współpracować z tymi ludźmi.

NEJT: Studiuję filologię polską z wiedzą o mediach w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Tarnowie. Miałam wybrać się do Krakowa na studia, ale stwierdziłam, że jeśli wyjadę, to stracę to wszystko, co tutaj robiłam. Zostałam w Tarnowie, może magistra będę chciała robić gdzie indziej, ale teraz mam jeszcze trochę tutaj do zrobienia. Wolę, żeby ludzie z Krakowa przyjeżdżali do nas, niż żeby znowu wyrzucać tarnowskich artystów do innego miasta. Chodzi o to, żeby artyści z Tarnowa, byli tutaj oglądani. ŁLD: Tarnów ma potencjał do tego, żeby coś tu zmieniać. Kraków jest przesycony, codziennie odbywa się tam multum imprez, nie odnalazłabym się tam. Lepiej jest znaleźć swoją niszę i tutaj działać, robić takie rzeczy, żeby były rozpoznawalne w całej Polsce, i żeby to Kraków chciał wzorować się na nas, a nie my na Krakowie.

BS: Odpowiedzialny obywatel, kto to taki?

NEJT: Ktoś kto wykonuje zadanie, które sobie zaplanował. Jest w stanie przyznać się do tego, że popełnia błędy i że może zrobić coś lepiej.

ŁLD: Jestem z zamiłowania historykiem i uważam, że prawdziwy obywatel musi znać historię swojego kraju, jego tradycje oraz kulturę. Żyjemy w swoich małych ojczyznach – miejscach, w których się wychowaliśmy, spędziliśmy jakąś część swojego życia, dlatego powinniśmy dostrzegać, jakie piękno nas otacza.

Jest jak z innej planety: uśmiechnięty, z błyskiem w oczach, pełen energii i optymizmu. Na pytanie: „Co słysząc?”, zawsze odpowiada: „Świetnie”. O ludziach mówi tylko dobrze. Śmiem twierdzić, że on nie ma gorszych dni, na pewno nie ma.



„Nie
mógłbym
pracować
w banku”

Rozmowa z Kamilem Wrzosem. Kamil pochodzi z małej wioski koło Nałęczowa w województwie lubelskim. Swoją przygodę z wolontariatem rozpoczął w 2005 roku w programie Projektor – wolontariat studencki. Był wolontariuszem, lidem i w końcu regionalnym koordynatorem programu w województwie podkarpackim. Współtwórca, prezes, a teraz członek zarządu Fundacji Generator Inspiracji.

Zobaczyłem,
że nie
wszyscy
chuligani
są źli

Bernadeta Szczypta: Kiedy zrozumiałeś, że chcesz pracować z ludźmi i dla nich?

Kamil Wrzos: To były czasy liceum. Działiałem w samorządzie uczniowskim, trochę zajmowałem się spółdzielnią uczniowską, ponieważ chodziłem do liceum ekonomicznego i coś takiego u nas istniało. Właśnie te działania pokazały mi, że chcę pracować z ludźmi i robić coś dla nich. Wybrałem jednak studia ekonomiczne. Ten kierunek nie tyle kłócił się z moim pomysłem na życie, co raczej pokazywał, że działamy dla biznesu, tak żeby osiągać zyski. Na szczęście podczas studiów trafiłem na program wolontariatu studenckiego.

BS: To był Projektor, prawda?

KW: Tak, Projektor – wolontariat studencki, który w tym roku obchodzi 10-lecie istnienia, a ja w nim jestem od 9 lat. Centrala programu najpierw była w Warszawie, ale rozkręcał się on w województwie lubelskim. W zasadzie to był przypadek, poznałem bardzo ideową, energetyczną osobę, której chciało się chcieć. To ona przekonała mnie swoją postawą, sprawiła, że w pełni zaufałem i jej, i temu programowi. Na początku trochę z przymrużeniem oka patrzyłem na to wszystko. Pomyślałem, że zobaczę jak jest w tych szkołach i na tych zajęciach. I to po takim tournée wakacyjnym „miała mnie” ta osoba i ten program.

BS: Co takiego wydarzyło się podczas tamtych wakacji?

KW: W ramach Projektora odwiedziliśmy różne regiony Polski. Najpierw pojechalśmy do województwa podkarpackiego. Zobaczyłem ogromną różnicę w dzieciakach, w ludziach, w porównaniu z tym, co widziałem w lubelskim.

BS: Jakie były różnice?

KW: Jeżeli chodzi o młodzież zachwyliło mnie to, że są bardzo mocno przywiązani do tradycji i nie wstydzą się tego. Nie mogłem wyjść z podziwu, że ubierają się w stroje ludowe, występują w przedstawieniach. U nas w lubelskim albo to padło, albo nie funkcjonuje, a młodzież wstydzi się tego. Z kolei w osobach dorosłych, nauczycielach, dyrektorach szkół ujęła mnie podkarpacka gościnność, która tak mi się spodobała, że stwierdziłem, że na tym jednym pobycie się nie skończy. Wyjeżdżając po tygodniu wolontariatu, wiedziałem, że jeszcze tu wrócę, no i faktycznie wróciłem. A podczas tych pierwszych wakacji kolejnym miejscem, do którego pojechalśmy z Projektorem, były Mazury. Totalnie inny region, inni ludzie, inne problemy społeczno-ekonomiczne. Tam z kolei zobaczyłem, że nie wszyscy chuligani są źli. Byliśmy w szoku, bo na zajęcia przyszły dzieciaki uważane za „dresy”. My studenci byliśmy przerażeni, nie wiedzieliśmy jak sobie radzić z tak trudną grupą... A oni powiedzieli, że chcieliby, żeby ktoś się nimi zajął i zaproponował jakieś zajęcia, bo oni nie mają co robić. Pogląd, że oni tylko niszczą przystanki, siedzą pod sklepem z jakimś używkami – padł. Zobaczyłem, że jeśli faktycznie ktoś zajmie się nimi, to oni chętnie zaangażują się i zapomną o całym tym złym świecie. Po tygodniu zajęć dostaliśmy od nich list z informacją, że chcą, żebyśmy wrócili. I to utwierdziło mnie w przekonaniu, że ten program wolontariatu studenckiego ma głęboki sens. W zasadzie całe wakacje były utwierdzeniem się w przekonaniu, że misja programu – wyrównanie szans edukacyjnych dzieciaków z małych miasteczek i wsi – ma ogromne znaczenie.

BS: Za co byłeś odpowiedzialny wtedy, podczas pierwszego wyjazdu?

KW: Zajmowałem się tym, czym dzisiaj zajmują się studenci Projektora na Podkarpaciu. Byłem odpowiedzialny za skrzyknięcie grupy, z którą wyjadę, przygotowanie jakichś zajęć dla dzieciaków. Mówię jakichś, bo nie studiowałem pedagogiki, więc totalnie nie miałem pojęcia o warsztacie pedagoga. Nastawiliśmy się na zajęcia sportowe i informatyczne, taki mix. No i wróciliśmy do zabaw z czasów dzieciństwa. Świetnie bawiliśmy się z nimi. Taka była nasza główna rola. Ten program to także zwiedzanie. Trafiliśmy co prawda do małych miejscowości, ale wszędzie gdzie pojechaliśmy nauczyciele czy dyrektorzy proponowali nam albo kajaki, albo zabierali nas na wycieczki, opiekowali się nami. Widzieliśmy, że nasza praca jest doceniana, zauważana i wynagradzana, nie pieniędzmi, ale w inny sposób.

BS: I wtedy właśnie Projektor cię złapał i trzyma do tej pory?

KW: Tak, Projektor i ta ekipa z którą wyjeżdżałem. Pewnego dnia usiedliśmy sobie i zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić, aby ten wolontariat, nasze działania rozpowszechnić. Padł pomysł założenia fundacji i tak zrobiliśmy. Cele po części skopiowaliśmy z programu Projektora. Wiedzieliśmy, że chcemy działać dla dzieciaków z małych miast i terenów wiejskich, bo takie mieliśmy doświadczenia. I tak powstała Fundacja Pomocy Dzieciom i Młodzieży BAR-KA, po zmianie nazwy teraz jest to Fundacja Generator Inspiracji, która istnieje do dzisiaj i rozszerza wachlarz swoich działań.

BS: Myślę, że ważne jest, aby powiedzieć, gdzie Fundacja powstała i jak to się stało, że teraz ma siedzibę w Futomie.

KW: I tu wracam do pierwszego tournée. Fundacja powstała najpierw w województwie lubelskim. Mimo że została zarejestrowana

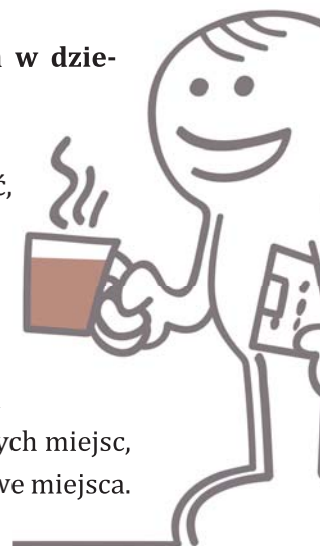
w moim rodzinnym mieście, spotkaliśmy się tam z brakiem zainteresowania, nie mogliśmy się przebić. Działaliśmy, ale nie było dużego zainteresowania. Wtedy wpadliśmy na pomysł, że może warto wrócić tam, gdzie takich zadań i zajęć faktycznie potrzebują. Centrum Projektora w Lublinie było zdziwione, że nie chcemy działać na miejscu, a Podkarpacie nie spodziewało się, że z taką propozycją wyjdziemy, że będziemy chcieli wrócić. Na Podkarpaciu szkoła w Futomie i władze gminy Błazowa bardzo chętnie nas przyjęły i wszystko udało się pozytywnie zakończyć. I tak w 2006 roku rozpoczęliśmy swoją działalność w Futomie, która nieprzerwanie trwa do dzisiaj.

BS: Te przenosiny były strzałem w dziesiątkę?

KW: Myślę, że tak. Nie chcę mówić, co straciło lubelskie, bo tego nie wiem, ale widzę co zyskało Podkarpacie, a także cała Polska. Naszym celem było znalezienie się w miejscu, gdzie będziemy dostępni dla studentów, którzy powrócą do tych miejsc, gdzie my byliśmy albo odwiedzą nowe miejsca. No i ten cel, dzięki temu, że przyjechaliśmy na Podkarpacie, udało się zrealizować. Bo tutaj nie tylko środowisko studentów, lecz także małe społeczności lokalne są otwarte zarówno na sam program, jak i na nasze działania.

BS: A co ty zyskałeś przez tę działalność?

KW: Myślę, że można by było bardzo długo wymieniać. Dla mnie najważniejsza korzyść jest taka, że jestem bardzo mocno związany z fundacją i w niej po prostu się realizuję. Mogę tu, wspólnie z wolontariuszami, realizować wszystkie moje pomysły i działać. I ta praca przynosi mi wiele satysfakcji. Pewnie,





Można być odpowiedzialnym człowiekiem, niekoniecznie robiąc wielkie rzeczy

że mi mówią, że byłoby mi spokojniej w jakimś biurze księgowym albo banku, mógłbym pracować w godzinach 8-16, zarabiać o wiele więcej... Ale wtedy ja mówię, że tutaj jestem po prostu szczęśliwy. Gdyby nie Fundacja, nie poznałbym tylu fantastycznych ludzi, nie pojechałbym w tyle ciekawych miejsc. I ta perspektywa byłaby mocno ograniczona, myślałbym, że liczę się tylko ja. Ta przejażdżka po Polsce pokazała, że są ludzie, którzy potrzebują może niekoniecznie pieniędzy, ale jakiejś inicjatywy, pokazania pasji a może nowych autorytetów. I dla mnie, bez wątplenia, tymi autorytetami są studenci wolontariusze. Jak oni pojedą w tę Polskę, to są jak gwiazdy lokalne, które pokazują tym dzieciakom inny świat, udowadniają, że jak bardzo się chce, to może się udać.

BS: To wróćmy jeszcze do tych dzieci, które spotkałeś po raz pierwszy podczas podróży z Projektorem. Co zobaczyłeś w ich oczach?

KW: Niekoniecznie biedę. Mówi się, że dzieci są zaniedbane, brudne, nie mają w co się ubrać. Ja zobaczyłem to, że nikt się nimi nie interesuje. Przez 10 miesięcy jest szkoła, później przychodzą wakacje i nie ma dla tych dzieciaków żadnej oferty. One szukały zajęcia. Widziałem, że większym zainteresowaniem cieszyły się propozycje studentów niż te przygotowane przez nauczycieli w szkole, bo oto przyjeżdżał ktoś nowy, z nową energią, specjalnie do nich. Studenci zawsze to podkreślali: „Przyjechaliśmy z południa Polski, wy mieszkacie na północy. Zobaczcie jaką drogę pokonaliśmy, żeby być z wami”. Ten program naprawdę ma sens i dlatego istnieje już 10 lat.

BS: Śledzicie losy tych dzieci, tych poznanych kilka lat temu?

KW: Mogę powiedzieć o dzieciach z Podkarpacia, bo do nich często wracaliśmy. Niektóre z nich są na studiach i są naszymi wolontariuszami, więc rozumiem, że te działania miały sens. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy jeżeli nie trafiłbym na program wolontariat studentki na swojej drodze, nie byłoby podobnie. Natomiast misja programu jest taka, żeby zachęcić dzieciaki do dalszej edukacji i do tego, żeby znalazły swoją pasję. I kiedy teraz oglądam zajęcia studentów, to widzę ogromną radość dzieci i to jak są wpatrzone w tego studenta. Jest dla nich wzorem, kimś za kim chcą podążać. Po 9 latach programu na Podkarpaciu, niektórzy z uczestników tych zajęć startują na studia i wiemy, że jedną z motywacji było spotkanie ze studentami.

BS: Kiedy patrzysz na wolontariuszy, to jakich ludzi widzisz?

KW: To ludzie pełni energii, którzy utwierdzają mnie w przekonaniu, że dalej chcę z nimi pracować, a nie, na przykład, siedzieć w banku.

To ludzie, którzy wiedzą, czego chcą i nie wstydzą się tego, że są wolontariuszami. To co bardzo podoba mi się w wolontariuszach, to to, że mają ciągle nowe pomysły, mnóstwo pozytywnej energii i inspiracji i to, że chce im się chcieć, bo to jest chyba najważniejsze. Dzisiaj łatwo jest narzekać, mówić jakim się jest zajęтым człowiekiem. Tymczasem oni znajdują czas na wolontariat, to pokazuje jakimi są dojrzałymi i fantastycznymi ludźmi.

BS: Mówiłeś, jak dzięki swojej działalności poznałeś wiele osób, ile miejsc odwiedziłeś. Czy była taka osoba, która swoją postawą odcisnęła na tobie piętno, a może to był jakiś wyjazd?

KW: To była koordynator lubelskiego Projektora – Małgorzata Kotowska. To ona zachęcała mnie do zaangażowania się w ten program. Namawiała mnie na te wyjazdy tydzień po tygodniu. A ja zastanawiałem się czy wziąć udział w tym krótkim, tygodniowym. Mówiłem, że nie mam przygotowania, że to bardzo dużo stresu. Małgosia spowodowała, że zapisałem się na wyjazd na całe wakacje, tydzień po tygodniu, w różne rejony Polski. Ale pokazała się też jako osoba, która chce coś zmienić i wierzyła, że za pomocą tego programu można dużo zmienić i ja jej uwierzyłem. W zasadzie to mentor, wspierała mnie, kiedy byłem już koordynatorem na Podkarpaciu. Wiele doświadczeń, które wykorzystuję w pracy ze studentami, zaczerpnąłem od niej. A co do wyjazdu, to po tym naszym pierwszym tournée po Polsce mieliśmy okazję wyjechać na drugi rok do Austrii i tam podejrzeć, jak działa podobny program. I dla nas to była ogromna nagroda. Nas studentów nie byłoby na to stać, kiedyś też te wyjazdy zagraniczne nie były tak popularne jak dzisiaj, więc poczuliśmy się tak doce-

Po tygodniu zajęć dostaliśmy od nich list z informacją, że chcą, żebyśmy wrócili

nieni, że ten program stał się dla nas misją, wiedzieliśmy, że trzeba go realizować.

BS: Kim dla ciebie jest odpowiedzialny obywatel?

KW: To ktoś, kto angażuje się w sprawę kraju. Nie wyobrażam sobie, żeby nie włączać się w działania na rzecz innych ludzi czy rozwiązywania problemów społecznych. Bo każdy z nas dostrzega, że na przykład przystanek w naszej miejscowości jest zdezelowany, ale nikt nie pokusi się o to, żeby go wyremontować i postawić na nowo. Każdy narzeka, że w naszej miejscowości nic się nie dzieje, ale też nikt nie wyjdzie z inicjatywą, że można znaleźć jakiś program, na przykład nasz, w którym do dzieci mogą przyjechać studenci i zorganizować im darmowe zajęcia. A więc odpowiedzialny obywatel to taki, który troszczy się o sprawę swojej społeczności lokalnej.

BS: A dlaczego tak mało osób się troszczy? Nie chce im się, nie widzą potrzeby, nie wiedzą gdzie pójść?

KW: Myślę, że zmierzamy w kierunku egocentryzmu, liczy się tylko to co moje, moja najbliższa przestrzeń. Natomiast sprawy lokalne już tak bardzo nas nie angażują, wykręcamy się brakiem czasu. Dla mnie to jest właśnie wykręcanie się, bo każdy, jeżeli będzie chciał to nawet odrobinę swojego czasu jest w stanie przeznaczyć na rzecz wybranych przez siebie działań społecznych.

BS: Myślisz, że te postawy będą zmieniać się na lepsze czy już tak zostanie?

KW: Wierzę, że to pokolenie, takie programy wolontariatu, sprawią, że te



dzieciaki będą chciały coś robić dla swoich społeczności. Budujące jest to, gdy przychodzi do nas student i mówi, że wyjeżdżał w ramach Projektora i teraz w program chciałby wciągnąć szkołę ze swojej miejscowości. Nas ogromnie cieszy, kiedy taki student wraca do korzeni, do tej swojej wiejskiej szkółki i tam prowadzi zajęcia dla dzieciaków. To są przykłady osób, które chcą zmieniać rzeczywistość i pokazać, że można być odpowiedzialnym człowiekiem, niekoniecznie robiąc wielkie rzeczy. Taki wyjazd to już jest dla mnie odpowiedzialny obywatel.

BS: Czy gdybyś raz jeszcze miał wybierać, wybrałbyś taką samą drogę?

KW: Bez wątpienia tak, nic bym nie zmienił, wszystko co się wydarzyło podczas tej drogi, to naprawdę historia nie z tej ziemi. To czego mogłem doświadczyć podczas tych wyjazdów i spotkań z tymi dziećkami, rodzicami, nauczycielami, dyrektorami, pokazało mi, że praca, którą wykonuję, ma sens. A w życiu chyba o to chodzi, żeby robić to, co się lubi i robić to z sensem i pasją.

Misja programu jest taka, żeby zachęcić dzieciaki do dalszej edukacji i do tego, żeby znalazły swoją pasję



W życiu chyba o to chodzi, żeby robić to, co się lubi i robić to z sensem i pasją



Maj 2014 roku. Ta sama kawiarnia w centrum Rzeszowa. I znowu pijemy kawę. Edyta ponownie z ulubionego kubka na wynos, ja z filiżanki. Tym razem obydwu nam błyszczą oczy. Nie padły jeszcze żadne słowa, a my już wiemy, że się udało.



„Koniec,
który daje
obietnicę na
ciąg dalszy”

Rozmawiają: Edyta Sobiecka – koordynatorka projektu Cafe Obywatelska oraz dziennikarka Polskiego Radia Rzeszów
Bernadeta Szczypta, autorka wywiadów w publikacji Portret aktywnego obywatela.

Pięknie jest poznawać ludzi, kiedy usiądą i zastanowią się nad tym, co robią, gdy popatrzą na to z dystansu

Bernadeta Szczypta: Ten błysk w oczach dostrzegłam u wszystkich moich rozmówców. Zobaczyłam też pasję i miłość, a także coś co mnie szczególnie urzekło: te osoby ciągle chcą więcej.

Edyta Sobiecka: Jestem zachwycona tymi tekstami. Jest w nich tyle pomysłów, kreatywności... Albo odpowiadają na potrzeby, albo kreują nowe pomysły, zadania. Pięknie jest poznawać ludzi, kiedy usiądą i zastanowią się nad tym, co robią, gdy popatrzą na to z dystansu. Dzięki tym rozmowom, myślę, że i oni mogli popatrzeć na swoje działania z dystansu. A ja mogłam bliżej poznać te osoby i zrozumieć ich system i potrzebę działania.

BS: Dla mnie niezwykle było to, że nasi bohaterowie często dopiero podczas tej rozmowy dostrzegali, jak wiele udało im się osiągnąć. Było nawet zaskoczenie: „Ojej to naprawdę ja? To już tyle lat? Tak wiele udało się dokonać?”. Oni tak działają, że nawet nie mają czasu zastanowić się co za nimi.

ES: To jest właśnie ta refleksja nad własnym działaniem i nad tym jaką zmianę ono wprowadza. Myślę, że ta refleksja jest bardzo potrzebna, bo wtedy ludzie nabierają siły do tego, żeby chcieć działać jeszcze aktywniej, widzą, że to co robią, jest skuteczne, mają siłę przebicia, potrafią zgromadzić wokół siebie innych ludzi, zachęcić ich do działania. W tych wywiadach widać piękno człowieka, jego różnorodność, koloryt. Na początku kiedy zastanawiałam się nad tą publikacją, myślałam trochę o recepcie na działacza społecznego, na aktywnego obywatela. Po przeczytaniu wiem, że nie ma

BS: Bardzo ci dziękuję, że mogłam poznać tych wszystkich fantastycznych ludzi, że mogłam z nimi porozmawiać, że mogłam ich pokazać.
ES: A ja tobie dziękuję, że w taki sposób rozmawiasz z nimi, że wydobywasz z nich to co piękne



żadnej recepty. Każdy jest inny, każdy ma swój klucz i to jest najpiękniejsze, że każdy szuka własnej drogi i na niej znajduje ludzi.

BS: Myślę, że właśnie to jest piękne, każdy z nas może odnaleźć się w tej działalności.

ES: Tak, dla każdego jest miejsce. Ale jest jeden warunek: to miejsce trzeba sobie samemu stworzyć.

BS: Doznałam wielu olśnień podczas rozmów z naszymi bohaterami. Te olśnienia to takie proste, jasne zdania, które są mi bardzo bliskie, na przykład „Działam, bo świat mnie potrzebuje”, „Trzeba wychodzić poza własną strefę komfortu”, „Ważne jest miejsce, w którym żyjemy, to my odpowiadamy za to, w jakim jest stanie”. To są te momenty, kiedy czuję, że to jest właśnie to, że o to chodzi. Też miałaś takie olśnienia?

ES: Tak, nawet teraz czuję ciarki, kiedy to mówisz. Bo to są rzeczy, w które wierzę. Od których trochę uzależniam swój los. Skoro tu się urodziłam, skoro mam możliwość tutaj mieszkać, to chcę w tym miejscu mieszkać, nie wiem gdzie za kilka lat zapędzi mnie los, ale to jest mi bardzo bliskie. To są takie skrywane marzenia, które są w człowieku, a ci ludzie pokazują, że te marzenia można realizować.

BS: Czuję niedosyt, jest jeszcze tak wielu fantastycznych społeczników wokół nas, a my o nich nie powiedziałyśmy!

ES: Niedosyt z pewnością jest. Myślę, jak kontynuować projekt. Ale wiem też, że nie wszystko naraz.

BS: Pokora?

ES: Tak właśnie. Jesteśmy częścią tego świata i kiedy człowiek to sobie uświadamia, to wie, że w danym momencie może tyle i nie więcej. Zawsze oczywiście pozostanie chęć zdobycia więcej, bo w końcu jesteśmy ludźmi.

BS: Czyli z pokorą patrzymy w przyszłość, mając ochotę na więcej.

ES: O tak i uczymy się, że to więcej nie zawsze możemy mieć, ale możemy spełniać swoje marzenia, bo ten świat, który jest trochę większy od nas, pozwala nam na to, ale pod warunkiem, że znajdziemy sobie w nim miejsce.

BS: Bardzo ci dziękuję, że mogłam poznać tych wszystkich fantastycznych ludzi, że mogłam z nimi porozmawiać, że mogłam ich pokazać.

ES: A ja tobie dziękuję, że w taki sposób rozmawiasz z nimi, że wydobywasz z nich to co piękne.



Myślę, że ta refleksja jest bardzo potrzebna, bo wtedy ludzie nabierają siły do tego, żeby chcieć działać jeszcze aktywniej, widzą, że to co robią, jest skuteczne, mają siłę przebicia, potrafią zgromadzić wokół siebie innych ludzi, zachęcić ich do działania

O twórcach publikacji



Bernadeta Szczypta – politolożka, dziennikarka, działaczka społeczna. Od 14 lat dziennikarka Polskiego Radia Rzeszów. Zajmuje się szeroko rozumianą tematyką społeczną, ze szczególnym uwzględnieniem działalności organizacji pozarządowych. Współautorka cyklicznej audycji Podkarpackie Pozarządowe, w której prezentowane są blaski i cienie funkcjonowania „trzeciego sektora”, pokazywane postawy obywatelskie mieszkańców województwa podkarpackiego, w tym wolontariat. W swoich programach porusza także zagadnienia związane ze zdrowiem, bezpieczeństwem ruchu drogowego oraz ekonomią.

Współzałożycielka i współprowadząca społecznie portal www.podkarpackie-pozarządowe.pl.

Miłośniczka francuskich piosenek, polskiej fantastyki, butów na wysokich obcasach i jazdy na rowerze.



Edyta Sobiecka – animator w działaniu. Człowiek wielu projektów i wielu organizacji. Przedsiębiorca, badacz i działacz społeczny z zamiłowaniem. Praktyk z zakresu pisania i realizacji projektów, ewaluator działań społecznych i obywatelskich.

W życiu kieruje się zasadą „Kto chce – ten szuka sposobów, kto nie chce – ten szuka powodów!”.

Nieustannie szuka sposobów na realizację swojego życiowego motta Zapraszać do wspólnej podróży: odważnej, inspirującej, prowadzącej do odkrycia i spełnienia marzeń – do życia pełnią siebie!





Cafe Obywatelska to projekt Stowarzyszenia Ekopsychologia, realizowany we współpracy z Fundacją Inicjatyw Rozwojowych Fenomeno, Fundacją Generator Inspiracji, Spółdzielnią Socjalną Serce Pogórza oraz Stowarzyszeniem Novy Domov ze Słowacji, współfinansowany przez Szwajcarię w ramach szwajcarskiego programu współpracy z nowymi krajami Unii Europejskiej.

Głównym celem projektu jest zwiększenie aktywności obywatelskiej studentów czterech miast: Krakowa, Rzeszowa, Tarnowa i Nowego Sącza m.in. poprzez inspirację do angażowania się w rozwiązywanie problemów społeczności obszaru karpackiego.

Główne działania w projekcie, prowadzone równolegle w 4 miastach to:

- badanie sondażowe wśród studentów
- happeningi inauguracyjne w formie debat eksperckich
- kluby dyskusyjne
- Festiwal Kompetencji Społecznych „Warsztatownia”
- happeningi podsumowujące w formie debat oxfordzkich
- praktyki dla studentów
- publikacja „Portret aktywnego obywatela”

Cafe Obywatelska to przestrzeń do dyskusji na społecznie istotne tematy.

Więcej informacji o projekcie znajduje się na www.cafeobywatelska.pl

Projekt realizowany jest od lipca 2013 do sierpnia 2014 roku

Publikacja została wydana w ramach projektu „Cafe Obywatelska”, projekt współfinansowany przez Szwajcarię w ramach szwajcarskiego programu współpracy z nowymi krajami Unii Europejskiej.



Realizator



Partnerzy

